

128971

dr. 48
15

Σ 2 — 62 —
1974 / 75



o m i s



MAGAZYN
PROBLEMOWO-
INFORMACYJNY
POLITECHNIKI
WROCŁAWSKIEJ

CZŁOWIEK MEDYCYNĄ KOMPUTERY

Z okazji podpisania umowy o współpracy pomiędzy Akademią Medyczną a Politechniką Wrocławską odbyła się w redakcji SIGMY dyskusja, w której udział wzięli: ze strony Akademii Medycznej — prorektor prof. dr habil. Roman SMOLIK, lekarze specjaliści dr dr med. Andrzej LANGE i Witold ZATOŃSKI, ze strony Politechniki Wrocławskiej — doc. dr Mieczysław BAZEWCZ — kierownik Zakładu Informatyki. Dyskusję prowadziła dr Stanisława SZULC.

— Jaki był cel podpisania umowy?

R.S.: Zasadniczym celem umowy podpisanej z Politechniką było przystąpienie Akademii Medycznej do wykorzystania informatyki w lecznictwie. Akademia Medyczna obejmuje obecnie nadzór merytoryczny nad całością służby zdrowia regionu i w związku z tym zainteresowana jest stałym podnoszeniem poziomu profilaktyki, lecznictwa i diagnostyki nie tylko w swoich zakładach naukowych, klinikach, ale również w szpitalach miasta Wrocławia i szpitalach Dolnego Śląska. Bardziej niż do tej pory Akademia Medyczna musi wyjść i wychodzi do społeczeństwa, do populacji zatrudnionej w zakładach przemysłowych, oceniając jej stan zdrowia. Jest to o tyle ważne, że zarówno na Akademię Medyczną jak i na służbę zdrowia spada obowiązek kwalifikowania ludzi do różnego rodzaju zawodów zależnie od stanu zdrowia. Aby rozwiązać te problemy, nie możemy posługiwać się klasycznymi metodami postępowania lekarskiego, musimy wykorzystać nowoczesne zdobycze wiedzy, czasem interdyscyplinarnej, obejmującej wszystkie dziedziny życia, a przede wszystkim korzystać z osiągnięć informatyki. Posiadamy już pewne doświadczenia z tego zakresu, ponieważ w Zakładzie Patofizjologii funkcjonuje ośrodek zajmujący się tymi problemami i ściśle współpracujący z Politechniką Wrocławską. Dzięki tej współpracy mamy

już pewne osiągnięcia, które referowane były na ogólnokrajowym posiedzeniu dotyczącym zastosowań informatyki w medycynie. Obecnie wspólnie z pracownikami Politechniki tworzymy zespoły, które nakreślają zadania z zakresu informatyki dla rozwiązywania wytyczonych problemów medycznych, a w pierwszym rzędzie profilaktyki lekarskiej. Współpracownicy z Kliniki Chorób Zawodowych i Instytutu Chorób Wewnętrznych dr A. Lange i dr W. Zatoński mają pewne doświadczenie w zakresie stosowania elektronicznych maszyn cyfrowych w badaniach populacji narażonej na działanie różnych czynników szkodliwych. Dzięki współpracy z Politechniką można było ocenić stan zdrowia populacji niektórych zakładów przemysłowych. Jest to dopiero pierwszy krok, ale zdajemy sobie sprawę, że problemu tego nie rozwiążemy sami i będziemy musieli tworzyć różnego rodzaju zespoły specjalistyczne, interdyscyplinarne, które opracują sposób dokumentacji stanu zdrowia, służącej badaniom populacyjnym dużych grup ludności.

— Zastosowanie informatyki w medycynie celem opracowania wyników i utworzenia banku informacji, to chyba najnowsze metody badań światowych. Czy istnieje wymiana doświadczeń w tym zakresie z innymi placówkami naukowymi?

R.S.: Niewątpliwie wyprzedzają nas niektóre ośrodki zagraniczne, ale widzimy jeszcze wiele problemów przez nich nie rozwiązanych. Znamy mi są różne opracowania zagraniczne, ale mamy ambicję, by w zakresie patologii zawodowej opracować system, który mógłby być przyjęty zarówno w kraju jak i za granicą. Myślę o ujednoliceniu typu dokumentacji w oparciu o najnowsze dane z wykorzystaniem informatyki dla badań masowych. Pozwoli to na lepsze porozumienie się i wykorzystanie własnych doświadczeń zarówno w samej Akademii jak i między ośrodkami. Osobiście byłbym skłonny wykorzystać to do profilaktyki chorób zawodowych i pozazawodowych.

— Odbywał Pan roczny staż zagraniczny, jakie są pańskie obserwacje

dotyczące wprowadzania metod komputerowych w lecznictwie?

A.L.: Istotny postęp pracy szpitalnej związany jest niewątpliwie zarówno z automatyzacją badań laboratoryjnych, jak i wprowadzeniem komputerowych technik przetwarzania danych. Pełna automatyzacja zaplecza laboratoryjnego jak i zastosowanie maszyn matematycznych do systematyzowania i magazynowania danych jest obecnie nawet w wysoko rozwiniętych krajach pod względem procesu technologicznego bardzo drogie. Niesie jednak ze sobą duże korzyści. Uzyskane z badań informacje dostarczane są do rąk lekarza bardzo szybko w uporządkowanej formie. Przechowywane w pamięci maszyny obserwacje są cały czas dostępne służbie zdrowia. System ten pozwala na szybkie korelowanie danych związanych z badaniem określonych grup chorych i wyciąganie wniosków o stosunku ich aktualnego stanu zdrowia. Już obecnie, pomimo że do pełnego zautomatyzowania, systematyzowania i magazynowania danych droga wciąż jeszcze daleka, stosujemy w prowadzonych przez Klinikę Chorób Zawodowych A.M. we Wrocławiu badaniach populacyjnych porządkowanie danych z użyciem maszyn matematycznych. Nie byłoby możliwości szybkiego opracowania wyników badań sposobem tradycyjnym. Corocznie wprowadzane są w wielu krajach coraz nowsze i bardziej sprawne urządzenia laboratoryjne przystosowane do pracy z maszynami matematycznymi. Obserwuje się to na każdym kroku. Musimy nauczyć się pracy z nimi nie tylko sami, ale i przekazywać te wiadomości studentom w czasie zajęć, aby mieli przynajmniej ogólnie wyrobiony pogląd na możliwość stosowania więcej lub mniej wieloczynnościowych urządzeń laboratoryjnych pracujących w połączeniu z maszynami matematycznymi. Dzięki wielkiemu zainteresowaniu władz Akademii Medycznej współpracą z Politechniką Wrocławską będziemy mogli, również w zakresie dyscyplin klinicznych, włączyć się do szeroko prowadzonych badań w tej dziedzinie. W ten sposób nie damy się zaskoczyć przez bardzo szybki postęp w zakresie wykorzystywania zautomatyzowanych systemów w medycynie. Metody te, obecnie jesz-



cze drogie, będą dzięki szerokiemu zastosowaniu stały się coraz tańsze, a korzyści z nich płynące — ogromne.

— Czy przeprowadzono już pod tym kątem badania w zakładach przemysłowych?

R.S: Tak, badania takie były prowadzone na terenie Świdnickiej Fabryki Wagonów, w Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi w Lubinie i Zakładach Azbestowych w Gryfowie Śląskim. Uzyskane dane opracowane zostały przy pomocy maszyn cyfrowych w Politechnice Wrocławskiej, co pozwoliło na ocenę stanu zdrowia całej populacji. Dzięki temu możemy badania te powtórzyć po pewnym czasie, uzyskując wskaźniki dotyczące dynamiki stanu zdrowia.

— W jakim stopniu zakłady przemysłowe, w których prowadzone są badania, udzielają pomocy Akademii Medycznej?

R.S: Zakłady przemysłowe starają się przyjść z jak największą pomocą Akademii w celu rozwijania badań dotyczących stanu zdrowia ich pracowników. Istnieje pełne zrozumienie potrzeby współpracy z Akademią Medyczną w zakresie badań populacyjnych. Stało się to przede wszystkim dzięki pomocy ze strony KW PZPR, który na radzie z udziałem dyrektorów zakładów przemysłowych Dolnego Śląska, wykazał pełne zrozumienie i troskę o stan zdrowia ludności. Spodziewaliśmy się tej pomocy i pomoc tę uzyskujemy, zarówno w zakresie przygotowywania danych, stanowiących podstawy naszych opracowań, jak i w postaci pomocy materialnej. Właściwie wszyscy dyrektorzy zakładów przemysłowych deklarują swoją pomoc, zdając sobie sprawę, że kadra nasza jest dość szczupła i nie jesteśmy w stanie podejmować badań we wszystkich zakładach równocześnie. Atmosfera współpracy, zarówno ze strony dyrekcji, jak i rad robotniczych jest bardzo dobra.

— Czy nie dostrzega się w chwili obecnej braku matematyków i elektroników przygotowanych do podejmowania tego rodzaju badań w dziedzinie medycyny?

R.S: Braki takie dostrzegamy zarówno ze strony matematyków elektroników, jak i lekarzy. Byłoby idealnym, gdybyśmy mogli kształcić takich medyków, którzy po dyplomie poświęciliby się wyłącznie temu zagadnieniu. Wykorzystujemy te siły, którymi dysponujemy obecnie. Rozwiązujemy te problemy przez wspólnie organizowane zespoły składające się z lekarzy, matematyków i informatyków, w czym wielką rolę odgrywa nasza współpraca z Politechniką. Nasi lekarze nakreślają zadania i cele do jakich dążą, natomiast szczegóły opracowywane są przez matematyków i programistów.

— Ile osób z Politechniki podjęło współpracę z Akademią Medyczną i w jakim zakresie?

M.B: Myślę, że należy tu mówić raczej o jednostkach organizacyjnych Politechniki. Według mnie najbardziej związane z realizacją tego programu

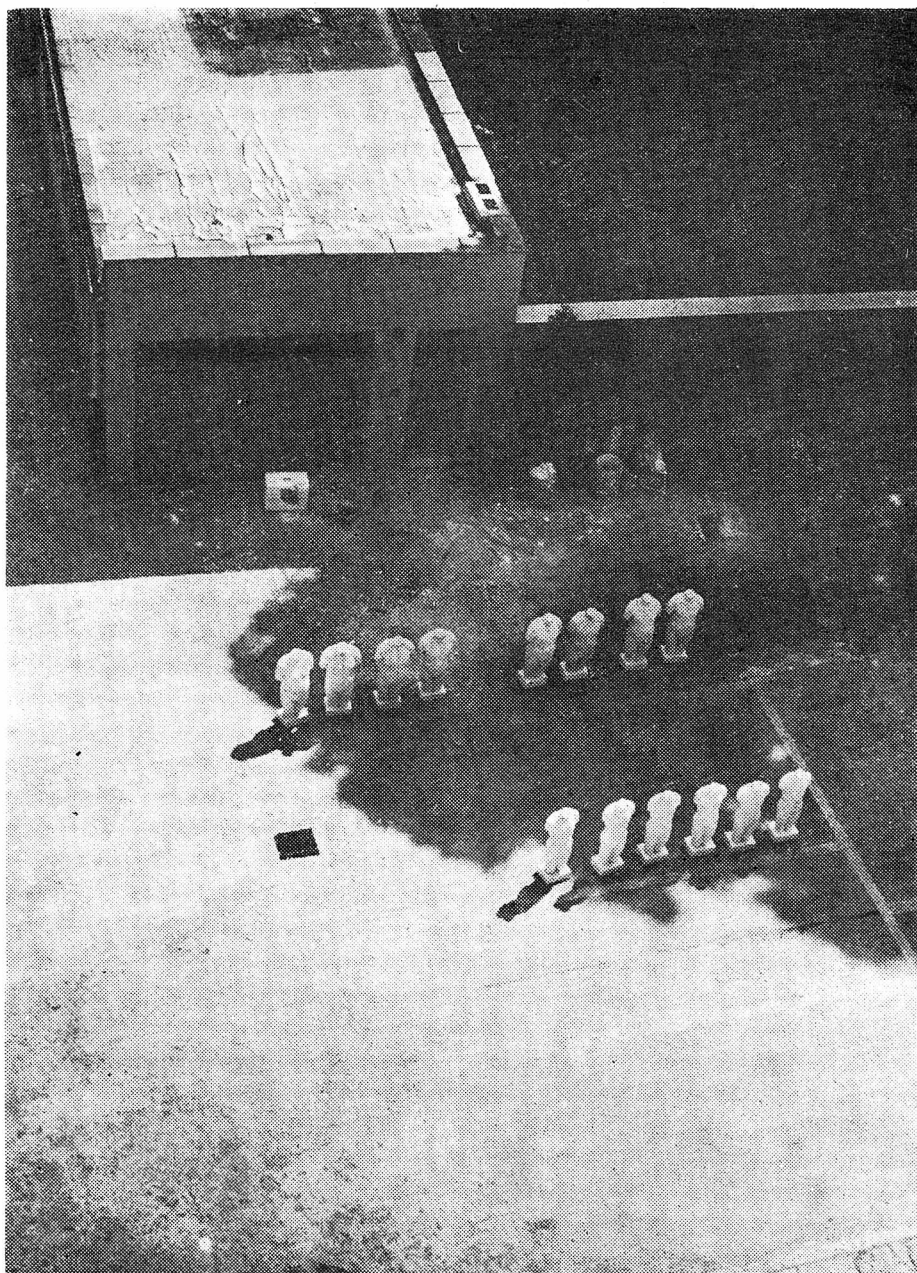
są: Centrum Obliczeniowe, Zakład Informatyki, Instytut Cybernetyki Technicznej oraz Instytut Matematyki. Personalnie natomiast wymienilibym prof. Z. Bubnickiego specjalizującego się w zakresie identyfikacji obiektów i procesów, prof. J. Jaronia — specjalistę w zakresie podstaw teoretycznych cybernetyki, posiadającego duże doświadczenie w zakresie zastosowań matematyki w medycynie, a ponadto w Instytucie Matematyki mamy specjalistów zajmujących się procesami stochastycznymi i rachunkiem prawdopodobieństwa; obie te metody mają duże zastosowanie w podejmowanych badaniach. Chciałbym jeszcze wspomnieć o budowanym u nas jednym z systemów WASC, systemie automatyzacji badań laboratoryjnych, który projektuje zarówno sprzęt jak i oprogramowanie dla bezpośredniej rejestracji i przetwarzania danych o badanych obiektach. W przypadku medycyny obiektem tym będzie człowiek. Wzbogaca się więc znacznie zastosowanie metod identyfikacji zjawisk, stwarzając szerokie perspektywy dla rozwiązywania tego rodzaju zagadnień.

— O ile mi wiadomo, dr W. Zatoński jest jednym z tych, którzy bezpośrednio współpracują z Politechniką, musi więc radzić sobie zarówno z językiem informatyków jak i problemami lekarskimi. Jak wygląda ta współpraca na co dzień?

W.Z: Mogę mówić tylko o pracy w zakresie zastosowań informatyki do badań klinicznych. Oczywiście prowadzenie badań wielotysięcznych populacji, a szczególnie ich matematyczne i statystyczne opracowanie nie jest możliwe bez użycia elektronicznych środków przetwarzania danych, czyli komputerów. Ale współpraca lekarza z informatykiem musi się zacząć grubo wcześniej, przed fazą przetwarzania danych. Musi być prowadzona już na etapie przygotowania badania, wybrania technologii badania, przygotowania dokumentacji badania lekarskiego dostosowanej do potrzeb automatycznego przetwarzania danych. Oczywiście jak najściślej musi być współpraca w mo-

Dokończenie na str. 6

Fot. K. LUKASIEWICZ

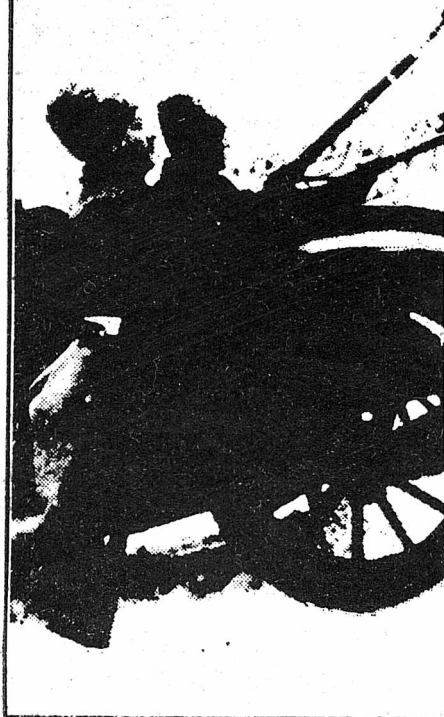


listopad

WEDŁUG

NOWEGO KALENDARZA

Jan
Kurowicki



Wielkie wydarzenia mają często przeciętną twarz. W chwili, gdy się zjawiają — nie różnią się od innych, toną wręcz w powodzi spraw odruchowo uważanych za ważne. Dopiero potem obrastają legendą, a ich bohaterowie przybierają marsowe postaci herosów. Zastygają w monumentalnych pozach. Bo waga tych wydarzeń nie musi być dana bezpośrednio. Powiem mocniej: nie może być dana. Dla obserwatora jest raczej tak, że ma do czynienia z gładką powierzchnią płynącego czasu, wybrzuszono tu i ówdzie czymś, co drażni jego emocje. Drażni — lecz raczej z jego osobistego, prywatnego punktu widzenia. To zaś, co faktycznie istotne — widoczne jest dopiero przy zastosowaniu odpowiedniej perspektywy poznawczej. Nie każdy nią dysponuje w momencie pojawienia się takiego wydarzenia, lub też nawet po upływie jakiegoś czasu.

Myślę w tej chwili o jednym z takich wydarzeń, które pojawiło się ponad pięćdziesiąt lat temu, którego konsekwencje trwają do dzisiaj. Muszę je nazwać, lecz uczynię to z pewną niechęcią. Z niechęcią, bo jego przywołanie — przysłonięte jest setkami i tysiącami filmów, książek o milionowych nakładach, komentarzy prasowych. Myślę o tym niezwyklej wyblisku historii, jakim jest rewolucja. Konkretniej: jakim była Rewolucja Październikowa.

Wróć do zaczętego wątku: waga wielkich wydarzeń nie może być dana naocznie. I w tym wypadku, przynajmniej w pierwszych swych momentach — nie była dana. Sens jej zdawał się widoczny tylko dla nielicznych. Przede wszystkim — dla jej duchowego przywódcy, który pisał wówczas, że historia nie daruje przegapionego momentu. A dla innych? Dla jej bezpośrednich sprawców? Co oni wówczas widzieli? — Nieco wzmożony ruch w siedzibie bolszewików, zajmowanie głównych punktów Piotrogradu i zwalnianie ich przez oddziały wojsk rządu tymczasowego. Strzały z Aurory i wymiana strzałów pod Pałacem Zimowym. Agitacja wewnątrz Pałacu Zimowego. Przechwytywanie i zamykanie agitatorów bolszewickich przez kadetów. A równocześnie: nieustające kłopoty z żywnością, drobne zmartwienia zwykłych zjadaczy chleba, pełne knajpy.

Dopiero później, już po utworzeniu nowych władz, zachodzi ten całokształt wydarzeń, które człowiekowi współczesnemu kojarzą się z rewolucją: Rosja jawi się nagle, jako we krwi skąpana. Różnicują się, a raczej — uwyrażniają odcienie ugrupowań politycznych: czerwoni, zieloni, biali i czarni. Prowokacje, walki, wiece, powstawanie zrębów rewolucyjnej praworządności i ciągła,

wyczerpująca walka o jej utrzymanie. Dopiero nieco później Lenin, w liście do Gorkiego porównuje rewolucję do walki, do bijatyki w karczmie: gdzie niezwykle trudno odróżnić wroga od przyjaciela, gdzie jednak odróżnienie to jest konieczne by zwyciężyć. Dopiero wówczas rewolucja pojawi się, jako coś przerastającego wyobrażenie, rozpalającego emocje: miłość i nienawiść. Wyzwalającego rozum i głupotę. Wtedy do świadomości powszechnej dociera właściwy sens wydarzenia, które zjawilo się z początkiem drugiej dekady listopada, według nowego kalendarza.

Wspomniałem już tutaj, że do rozpoznania wielkiego wydarzenia konieczna jest odpowiednia perspektywa poznawcza, że nie zawsze wystarcza zwykłe oddalenie w czasie. Taką perspektywą niewątpliwie dysponował Lenin i grupa, myślących podobnie, jak i on bolszewików. Grupa — bo nie wszyscy. Wiadomo bowiem z historii tamtych czasów, że wielu rewolucyjnych działaczy, występujących w Radzie Komisarzy nie wierzyła w powodzenie. Lenin miał trudne zadanie. Wątpiących trzeba było przekonać. I teoretycznie i za pomocą stworzonych faktów. Czysty wywód logiczny musiał znaleźć potwierdzenie praktyczne.

Lenin — ten, jak mówi się o nim niekiedy: „urzędnik rewolucji” — taką perspektywą dysponował. Dlatego te wszystkie fakty, które dla innych stanowiły zwyczajne dzianie się, nierozumne i zdane na przypadkowe trwanie losu, miały dlań głębokie znaczenie. Znaczenie uchwytnie dzisiaj łatwo, bo zobiektywizowane w jego pracach. Wystarczy sięgnąć po odpowiedni tom, by dowiedzieć się o tym, co dla współczesnych mu, było zakryte.

Kryje się za tym sprawa, o której, kończąc, warto wspomnieć: wszelka teźniejszość jest dla jej uczestników niejasna i skomplikowana. Potrzeba uporczywego wysiłku, by ją rozpoznać. By pod przeciętną twarzą przepływających obok nas faktów, zdarzeń i sytuacji widzieć coś więcej. Równocześnie — ten wysiłek, ten upór nie jest bezowocny. Albo — ostrożnie — być nie musi. Bo tak naprawdę, to sztuczny jest podział na zjawiska wielkiej wagi historycznej i na zwykłe, codzienne. Odrzucanie jednych od drugich stanowi intelektualne nieporozumienie. Za, czy raczej — pod powierzchnią istnieje świat ukryty przed zgrzebnym rozsądkiem. I o tym myślę, przywołując fakt tych dni, które poruszyły niegdyś społecznym światem. Czego skutki trwają do dnia dzisiejszego. Jak sądzę — jest to poza nawarstwionymi stereotypami.

JAN KUROWICKI

WSPÓŁPRACY NAUKOWEJ DZIŚ I JUTRO

Perspektywy współpracy naukowej. Z okazji rozpoczęcia nowego roku akademickiego poprosiliśmy doc. dr hab. Bogusława KĘDZIE — prorektora Politechniki Wrocławskiej o wypowiedź na temat niektórych zamierzeń Pionu d/s Współpracy z Zagranicą na najbliższe lata. Poniżej przedstawiamy tekst wypowiedzi:

W ciągu ostatnich dwóch lat działalności Pionu Współpracy z Zagranicą nasze główne wysiłki koncentrowały się na włączeniu wszystkich Instytutów Politechniki Wrocławskiej w kontakty naukowe z ośrodkami zagranicznymi i na szerokim propagowaniu osiągnięć naszej Uczelni poza granicami Kraju. Przejawiło się to w ponad 200% wzroście liczby wyjeżdżających na długoterminowe staże naukowe i w prezentacji osiągnięć naszych zespołów na międzynarodowych konferencjach naukowych.

Jedną z najbardziej intensywnych form rozwijanych w ramach współpracy są kontakty, które w skrótovej formie można by określić jako kontakty Uczelnia-Uczelnie. Pozwalają one na lepsze związki tematyczne i podporządkowanie tym związkom tematycznym całej wymiany z Zagranicą. W ciągu ostatnich dwóch lat udało nam się bardzo poważnie rozwinąć i ugruntować współpracę z Uniwersytetem Technicznym w Dreźnie i z Politechniką Kijowską. Nawiązaliśmy również kontakty z szeregiem innych uczelni z Krajów Socjalistycznych i Krajów Zachodnich. Nowo utrwalone związki dotyczą Wyższej Szkoły Budownictwa w Lipsku (NRD), Akademii Górniczej we Freibergu (NRD), Wyższej Szkoły Chemiczno-Technologicznej w Pradze. Wreszcie warto w tym miejscu wspomnieć o świeżo nawiązanych kontaktach z Politechniką w Tbilisi (ZSRR). Jeśli chodzi o kraje Zachodnie, to wieloletnie związki łączą nas z Politechniką w Tuluzie i w Grenoble. Współpraca między naszymi uczelniami, która uległa poszerzeniu i utrwaleniu w ciągu dwóch ostatnich lat, nie zadowala nas jeszcze całkowicie i dlatego będziemy dążyć w najbliższym czasie do intensyfikacji naszych wspólnych kontaktów.

W ciągu ostatniego roku podjęliśmy działanie zmierzające do związania się bezpośrednią współpracą z Politechniką w Budapeszcie, która stanowi główny ośrodek nauk technicznych na terenie Węgier, jak również z Instytutem Budownictwa i Architektury w Peçu na Węgrzech. Jeszcze w tym roku chcemy rozpocząć rozmowy z Wyższą Szkołą Techniczną w Pradze (Czechosłowacja). Trwają prace zmierzające do nawiązania kontaktów z Politechniką w Kiszyniowie oraz bezpośredniej współpracy z Uniwersytetem w Nowosybir-

sku. Jeśli chodzi o Kraje Zachodnie — prowadzimy obecnie rozmowy na temat współpracy z Uniwersytetem w Liverpool (Wielka Brytania). Kontakty z tą uczelnią nawiązane były już wcześniej, ale cała współpraca dotyczyła do tej pory wymiany studentów z Architektury. W ciągu najbliższych paru miesięcy będzie gościł w Texas Tech University ekipa naszych profesorów, spodziewamy się również rewizyty, a co za tym idzie — nawiązania kontaktów również z tą uczelnią. Poszerzona zostanie na dalsze dziedziny współpraca z Marquette University w Millwaukee, Wiscousiu. Na razie nasze kontakty ograniczają się do kierunku chemicznego, ale w roku 1975 planujemy poszerzenie ich na Inżynierię Ładową, Elektrotechnikę z Elektroniką, Matematykę, Fizykę oraz Mechanikę — czyli wszystkie dziedziny jakie reprezentowane są przez tę Uczelnię. Dużo obiecujemy sobie po współpracy z Uniwersytetem w Palermo na Sycylii, gdyż jest to ciekawy, rozbudowujący się aktualnie intensywnie Uniwersytet, w którym działa wydział nauk inżynieryjno-technicznych, reprezentujący praktycznie pełną gamę nauk technicznych i ścisłych jakie istnieją w Politechnice Wrocławskiej. Przygotowujemy się dlatego do rozmów z przedstawicielami tej Uczelni.

Kontakty Uczelnia-uczelnie stanowią formę, do której przywiązujemy dużą wagę z tego względu, że pozwala ona na elastyczne działanie i oparcie całej współpracy o bezpośrednie związki robocze bez angażowania w to przedsięwzięcie władz centralnych zarówno naszego kraju jak i kraju, z którym współpracujemy. W tych związkach upatrujemy w przyszłości główny nurt współdziałania Politechniki Wrocławskiej i ośrodków zagranicznych, zarówno po stronie szkolenia kadry, jak i po stronie podejmowania wspólnych problemów badawczych.

Naszym zamierzeniem jako Uczelni jest utworzenie z Politechniki Wrocławskiej ośrodka szkolenia kadry na potrzeby Zagranicy. Wiele dziedzin nauki reprezentuje u nas bardzo wysoki poziom, można bez przesady stwierdzić, że wysoki poziom światowy i najwyższy poziom europejski. W tym zakresie warunki jakie możemy stworzyć dla szkolenia kadry w Politechnice Wrocławskiej, mogą być interesujące nie tylko dla krajów rozwijających się, ale

również dla krajów wysoko rozwiniętych. Na razie elementem hamującym w tym przedsięwzięciu są warunki socjalne, jakie możemy stworzyć przyjmowanym młodym naukowcom, ale przypuszczalnie już rok 75 rozwiąże ten problem. Zamierzamy przygotować specjalny ośrodek, hotel dla gości zagranicznych i dla stażystów zagranicznych przebywających w Politechnice Wrocławskiej.

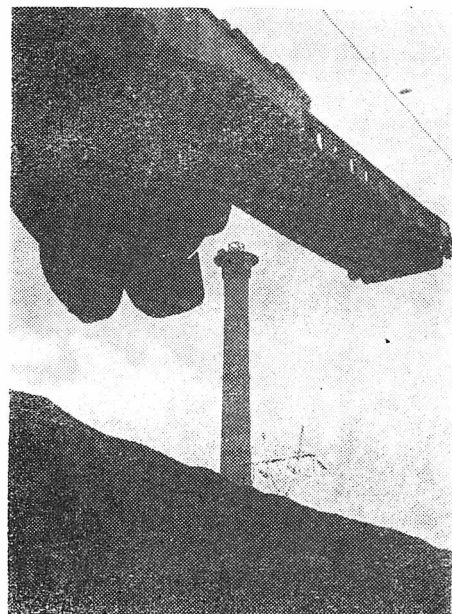
Do zadań Pionu Współpracy z Zagranicą należy również rozwój kontaktów z ośrodkami krajowymi i tę dziedzinę zamierzamy również bardzo intensywnie rozwijać. Dotyczy to wzajemnego szkolenia kadr, wspólnego korzystania z już działających laboratoriów naukowych i podejmowania wspólnej problematyki naukowej. I tu również jako czynnik limitujący, szczególnie jeśli jest sprawą dotyczy współpracy pozarządowej, pojawiają się warunki socjalne.

W bieżącym roku Pion Współpracy z Zagranicą przejął całokształt zagadnień dotyczących studentów zagranicznych, studiujących w naszej Uczelni. Współpracę z tymi studentami chcemy oprócz o rzetelny program współdziałania, tak żeby po ukończeniu Politechniki Wrocławskiej byli oni rzeczywistymi ambasadorami naszej Uczelni i naszego kraju.

Nadal ulepszać będziemy naszą działalność w sferze organizacyjnej. Zależy nam, żeby wyspecjalizowane służby, które powstały w Dziale Współpracy z Zagranicą mogły lepiej wyręczać kadrę naukową i Instytuty Politechniki Wrocławskiej. Sądzę, że w miarę przybywania doświadczeń będziemy coraz lepiej przygotowani do wykonania tych zadań.

Notowała:
MALGORZATA KRAMKOWSKA

Fot. J. BACHRIJ



CZŁOWIEK MEDYCYNĄ KOMPUTERY

Dokończenie ze str. 3

mencie prowadzenia prac nad stworzeniem programu dla opracowania użytkanych danych.

Taki typ wspólnej pracy wymaga, aby obydwie strony opanowały szereg pojęć. Wzajemna znajomość dziedziny pracy partnera musi być stale poszerzana i pogłębiana. Musi więc to być współpraca stała, a nie okazjonalna, bo w toku tej ostatniej, nawet najlepszy informatyk i znakomity lekarz nie mogą uzyskać istotnych osiągnięć. I chociaż oboje mam jak najlepsze doświadczenia w pracy z informatykami i matematykami z Politechniki Wrocławskiej, to cieszę się z zawartej umowy, bo wydaje mi się, że gwarantuje ona stworzenie stałych wzajemnie przenikających się w prowadzeniu pracy badawczej grup informatyków, matematyków i lekarzy.

— Czy Politechnika zapewni Akademii Medycznej końcówkę w Wielodo-

stepnym Abonenckim Systemie Cyfrowym?

M.B.: Współpraca z Akademią Medyczną rozwija się w dwóch kierunkach: pierwszy obejmuje rozbudowę stacji abonenckiej, doskonalenie możliwości użytkowania tej stacji przez Akademię, aż do budowy samodzielnego ośrodka obliczeniowego w przyszłości. W projekcie przewidziane jest połączenie Akademii Medycznej i Politechniki wspólnym łączem sieci komputerowej, umożliwiającej w przyszłości wykonywanie obliczeń, znacznie przekraczającej możliwości aktualnej stacji abonenckiej. Rozwój stacji abonenckiej w Akademii będzie polegał na systematycznej rozbudowie sprzętu, na rozszerzaniu zastosowania programów tworzonych wspólnie przez Akademię i Politechnikę. Drugi kierunek współpracy będzie zmierzał do rozwoju i doskonalenia metod rozpoznawania i identyfi-

kacji obiektów oraz opracowywania odpowiednich programów. Aktualnie biblioteka WASC wzbogacona jest zarówno przez programy opracowane w Politechnice jak i tworzone wspólnie z akademią Medyczną. Będziemy zmierzali do tworzenia uniwersalnych programów, tak by mogły one być użytkowane w przyszłości nie tylko przez szkoły, ale i inne ośrodki badawcze.

— Mówi się o powstaniu we Wrocławiu nowego dużego centrum informatyki lekarskiej. Jakże to będzie miało znaczenie dla środowiska i kiedy przewiduje się jego uruchomienie?

R.S.: Trudno mi określić dokładnie datę. Zmierzamy do budowy takiego centrum w niedalekiej przyszłości. Łączy się to z budową nowej Akademii Medycznej. Współpraca z Politechniką pozwoli nam tak zrealizować nasze założenia odnośnie projektowanego centrum, by zapewnić funkcjonalność tej placówki przez najbliższe dziesięciolecie. Sądzę, że w ciągu najbliższych kilku lat powinniśmy stanowić dość silne centrum informatyki lekarskiej, zarówno pod względem teoretycznym, jak i praktycznym.

— Należałoby chyba pomyśleć o szkoleniu nowej kadry przystosowanej do nowoczesnych metod badawczych. Czy przedsięwzięto już jakieś środki w tym kierunku.

M.B.: Chciałbym podkreślić, że program rozwoju informatyki w służbie zdrowia jest uwarunkowany przygotowaniem kadry technicznej oraz odpowiednim przeszkoleniem kadry medycznej w zakresie informatyki, cybernetyki i matematyki. Na podstawie wspólnych uzgodnień pracownicy Politechniki będą prowadzili przedmioty z zakresu cybernetyki i metod numerycznych dla niektórych specjalności Akademii Medycznej. Z drugiej strony, w Instytucie Cybernetyki Technicznej Politechniki Wrocławskiej przewiduje się specjalizację cybernetyków przygotowanych do pracy w informatyce medycznej. Podejmowane będą również prace doktorskie z wymienionej tematyki oraz studia specjalizacyjne. Niezależnie od tego istnieje możliwość podjęcia wspólnych prac badawczych przez zespoły rekrutujące się zarówno z pracowników Akademii Medycznej jak i Politechniki.

— Czy w Akademii przewiduje się również kształcenie lekarzy przystosowanych do korzystania z informatyki?

R.S.: Uważam, że pewna grupa medyków powinna się specjalizować i prowadzić prace doktorskie z zakresu informatyki medycznej właśnie tutaj w Instytucie Cybernetyki. Tylko w ten sposób widzę możliwość przyspieszenia utworzenia ośrodka informatyki Akademii Medycznej, który będzie służył nie tylko rozpoznaniu stanu zdrowia po-

pulacji, ale również celom naukowym. Wydaje mi się, że możemy być placówką przodującą nie tylko w kraju ale i w krajach RWPG.

— Wydaje się, że w chwili obecnej sytuacja jest niesłychanie sprzyjająca dla rozwoju nowego, opartego o informatykę kierunku medycyny, otwiera możliwości przed nową tematyką badawczą.

R.S.: Tak jest, mamy wielkie sprzyjające warunki, aby właśnie w środowisku naukowym Wrocławia, dzięki współpracy Akademii z Politechniką powstał ten nowy kierunek badań. Nie wydaje mi się, aby w innych ośrodkach istniała tak ścisła współpraca między tego typu uczelniami. My lekarze przyzwyczajeni jesteśmy do tzw. specjalizacji w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Krystalizująca się specjalizacja stanowi pewną nowość dla nas i dla całej medycyny. Jest to zadanie niezwykle trudne, ale w tej sprzyjającej atmosferze i dzięki ludziom, którzy rozumieją te perspektywiczne problemy, może być rozwiązane tylko na drodze współpracy interdyscyplinarnej. Możemy spodziewać się znacznej poprawy w zakresie ochrony zdrowia ludności, a tym samym stworzyć model nie tylko dla środowiska, ale i dla całego kraju. Będziemy zmierzać do tego, aby nasze działania miały charakter naukowo-badawczy, jesteśmy bowiem szkołami wyższymi stanowiącymi część Wrocławskiego Środowiska Naukowego.

M.B.: Ze swej strony chciałbym jeszcze podkreślić pewną szansę jaką stanęła przed środowiskiem wrocławskim, z uwagi na niepowtarzalną sytuację i warunki istniejące na Dolnym Śląsku. Mamy tu bowiem wysoko rozwinięty potencjał naukowy Akademii Medycznej, przygotowujące badania od strony lekarskiej, a Politechnika — od strony technicznej, i to zarówno w kierunku konstrukcji nowej aparatury przystosowanej do potrzeb medycyny, jak i opracowań programów. Potencjał ten stwarza niepowtarzalne w naszym kraju warunki i szanse dla dokonania dużych osiągnięć.

Dyskusję prowadziła i opracowała:
STANISŁAWA SZULC



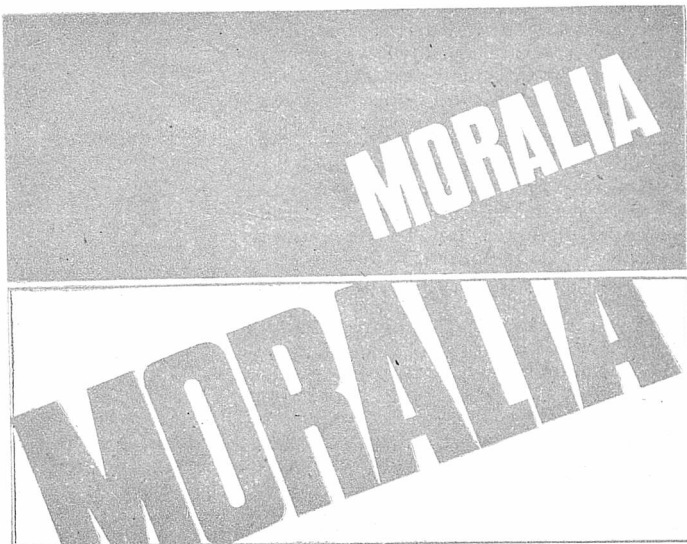
Niniejszym rozpoczynamy druk stałych felietonów dr Macieja Kaluszyńskiego poświęcony zagadnieniom współczesnej moralności i etyki zawodowej. Liczymy, że felietony te zainteresują Czytelników SIGMY. Wdzięczni będziemy za wypowiedzi o problemach w nich poruszanych. Chętnie również przyjmujemy propozycje tematów szczególnie Czytelników obchodzących.

REDAKCJA

Już w zamierzonych czasach spierali się ze sobą mędrcy, klócili się ich uczniowie, co jest dobrem najwyższym. Wokół tych sporów obrosła przebogata literatura, skomplikowana terminologia. Mnożyły się „szkoły”, kierunki, stanowiska dotyczące kwestii wyższej i problemów z nią związanych. Wyodrębniała się wyspecjalizowana dziedzina filozofii — etyka, jedna z wielu na szczęście dziedzin, w której nie padło ani jedno poważniejsze rozstrzygnięcie. I zadziwiającym może się wydać fakt, że ten zamęt i skłócenie w etyce nie skazuje tej dyscypliny na zagładę, że stare spory wciąż są kontynuowane, że ciągle powstają w jej obrębie nowe problemy, że wielkie umysły nie zniechęcone fatalną historią rozstrzygnięć dotychczasowych wciąż od nowa podejmują trudne problemy i szukają nowych rozwiązań, zaś stały przyrost publikacji w tej dziedzinie jest ciągle proporcjonalny do przyrostu publikacji w innych mniej kontrowersyjnych dziedzinach humanistyki.

Ta zadziwiająca w świetle braku zadawalających rozstrzygnięć w kwestiach podstawowych, żywotność etyki przestanie być aż tak zadziwiająca, gdy przyjrzymy się, jak bardzo aktualna jest problematyka etyczna wśród „ludzi normalnych”, nieskażonych profesjonalnym zajmowaniem się etyką. Wszak prawdziwym, najbardziej podstawowym przedmiotem rozważań etyki jest wartość ludzkich działań. A ten przedmiot w sposób zupełnie naturalny budził i będzie zawsze budził zainteresowanie ludzi, którzy działają i którzy muszą oceniać swoje czyny. Fakt ten stanowi rację bytu dla etyki, czyni jej istnienie koniecznym.

Był okres w dziejach etyki (dla wielu etyków trwa on do dziś), gdy zbulwersowani jałowością sporów przedstawiciele



tej dyscypliny, zazdroszcząc ścisłości i efektywności matematyce i naukom przyrodniczym, zapragnęli unaukować etykę. Koniecznym etapem tego niezwykle trudnego przedsięwzięcia było uporządkowanie terminologii etyki. Stało się przed badaczami zadanie precyzyjnego określenia znaczenia podstawowych terminów, którymi operowano w sporze etycznym. A przede wszystkim problem definicji pojęcia *dobry*. I tu, zdawać by się mogło, raz jeszcze ujawniła się swoista „natura etyki” broniąca się przed zbyt ścisłością i rygorami procedur naukowych. Ilu uczonych zajęło się tym problemem, tyle powstało definicji *dobry*, tyle nowych koncepcji, problemów i nowych sporów.

*

Przytoczę jedną z nich: *x jest dobry, gdy spełnia swoją definicję*. O ile definicja ta budzi zrozumiały protest wśród większości etyków, to z pewnością znacznie mniej kontrowersji wywołałaby jako propozycja do zastosowania w dziedzinie inżynierii. Dany most jest dobry o ile spełnia wszystkie zaplanowane dla niego parametry, a zatem — o ile odpowiada definicji mostu danego typu. To samo dotyczy dobrego silnika czy dobrej, wielkiej fabryki nawozów sztucznych.

Można by jednak pokusić się o próbę zastosowania przedstawionej definicji do przedmiotów oceny moralnej. Np. *dobry przyjaciel* to człowiek spełniający definicję przyjaciela. Gdy jesteśmy w posiadaniu definicji *przyjaciela* propozycja taka wydaje się zupełnie sensowna. Lecz spróbujmy naprawdę skonstruować taką definicję. Wątpię czy udało by się to komukolwiek z nas. Język oceniający jest tak bogaty w uczuciowe niuanse, w emocjonalne otoczki słów, że wszelkie próby definiowania jakoś zubożają lub choćby nieznacznie zmieniają pełne znaczenie pojęcia. Określenie *dobry, to spełniający swoją definicję* prowadzi nas w etyce, a jak sądzę i w całej humanistyce do problemu *dobrej definicji* i w ten sposób koło się zamyka. Przedstawiona definicja okazuje się bezsilna wobec trudności, którym miała zaradzić.

Etykowi nasuwa się jednak podobna refleksja w odniesieniu do inżynierii. Czy rzecz, która ma powstać w wyniku pewnych działań ludzkich posiada rzeczywiście wartość z góry zadaną, niekwestionowaną. Wyobraźmy sobie wielki stalowy most zbudowany zgodnie z wymogami najnowocześniejszych technologii, lecz zbudowany w miejscu, w którym nie ma możliwości wykorzystania jego rozlicznych zalet. Ot, kilka razy dziennie przejeżdża po nim na drugą stronę rzeki furmanka. Co można powiedzieć o wartości tego mostu? Czy jest on naprawdę wynikiem *dobrej roboty*? Widać tu chyba wyraźnie, że wartość mostu nie jest wyznaczana przez sprawność czynności budowlanych i konstruktorów oraz jakość materiałów. Most nie posiada wartości dla samego siebie, nie jest wszak pomnikiem do podziwiania, lecz instrumentem służącym jakimś celom. Jest ten most wartościowy o ile właściwie służy swoim celom. Celem dla którego buduje się mosty jest sprawny transport. Sens budowy mostu i wartość mostu polega na tym, że jest on dobrym środkiem usprawniania transportu. Lecz, jak łatwo zauważyć, sprawny transport nie jest również celem samym w sobie, jego wartość zależna jest od tego czemu, on służy. Nie rozróżniając zbyt tego rozumowania możemy powiedzieć, że transport jest jednym ze środków funkcjonowania gospodarki państwa, której podstawowym celem (przynajmniej w gospodarce socjalistycznej) jest zaspokojenie potrzeb społeczeństwa. A zatem tym, co w ostatecznym rozrachunku obdarza wartośćią rzeczy wytwarzane są potrzeby i pragnienia, cele jednostek ludzkich, grup społecznych, klas itp. Nowy most to nowa wartość nie tylko dla bezpośrednich użytkowników, to wartość wspólna.

Musimy zrezygnować z podanej definicji pojęcia *dobry*. Nie każdy most, który spełnia definicję mostu jest dobry, chyba, że dołączymy do tej definicji całą wiedzę o wartoś-

ciach którym ten most ma służyć. *Most* to przykład niewinny. Niestety nie sprawia większych trudności znalezienie przykładu wytworu działalności inżynierskiej, w którym nie tylko pozytywny ale i negatywny związek z ludzkimi wartościami jest aż nadto widoczny. Oto zbudowano nowy kombinat chemiczny. Wszystkie zaplanowane parametry są spełnione. Pełna zdolność produkcyjna osiągnięta została w terminie. Produkcja ta służy społeczeństwu, służy nam wszystkim. Równocześnie obok umiera stary wspaniały las, który też stanowi dla nas wartość, równocześnie czysta malownicza rzeka zamienia się w cuchnący kanał. Tworząc jedne wartości, niszczyliśmy inne. Nie chodzi tu o bilans wartości. Może wynik takiego bilansu będzie pozytywny — wartość tego co zyskujemy może być większa niż wartość tego co tracimy. Idzie tu o co innego. Otóż *dobry robotnik* nie może być pojęciem zamkniętym w wąskich granicach prakseologii czyli teorii skutecznego działania. Wykonuje dobrą robotę ten, kto widzi nie tylko końcowy etap działania, rzecz którą ma wytworzyć, lecz widzi tę rzecz w kontekście celów i wartości, którym ma służyć, w kontekście pozytywnych i negatywnych konsekwencji wytwarzanych przez tę rzecz. W widzeniu tak rozumianej wartości rzeczy wytwarzanej zawiera się moralny i ogólnoludzki sens *dobrej roboty*, moralny sens inżynierii.

Inżynieria tak rozumiana nie jest już odległym biegunem etyki. Rozważany typ działalności wytwarzającej wymaga wnikliwej refleksji wartościującej. Przedmiotem wartościowania nie są już jedynie środki wiodące do bezpośredniego celu działania. Refleksja wartościująca obejmuje tak jak w etyce również cele i konsekwencje jakie wynikają z osiągnięcia tych celów. Refleksja ta umiejscawia więc dane działanie i jego wytwór w społecznie akceptowanym systemie wartości. Inżynieria staje się zatem pewnym szczególnym przypadkiem postępowania moralnego. Każdy czyn i każda decyzja w tej dziedzinie podlega kwalifikacji moralnej.

Inżynieria zintegrowana z dziedziną moralności w wyżej wskazanym sensie zostaje uwikłana w trudne, kontrowersyjne problemy etyki. Jednak są to problemy, które muszą być podejmowane w każdej dziedzinie działalności ludzkiej. Alternatywą tych trudności jest bowiem ślepotą moralną.

Czyż postulat widzenia inżynierii w jej ogólnohumanistycznych ramach, postulat *dobrej roboty* z uwzględnieniem jej moralnego sensu nie stanowi najbardziej podstawowej przesłanki etyki zawodu inżyniera?

MACIEJ KALUSZYŃSKI

OBÓZ W MIELNIE I CO DALEJ?

O d roku poznański miesięcznik *Nurt* prowadzi interesujący i ambitny cykl publicystyczny zatytułowany HUMANISTYKA i KLASY. Ponieważ problematyka kolejno ukazujących się artykułów z zakresu filozofii, socjologii czy ekonomii jest stale żywo dyskutowana w środowiskach naukowych, redakcja *Nurtu* postanowiła wyjść z inicjatywą, która pozwoliłaby objąć tę dyskusję i studentek czytelników czasopisma. Powstał więc pomysł zorganizowania letniego obozu szkoleniowo-politycznego w studenckim ośrodku w Mielnie, pomysł, który został już zrealizowany przy współudziale ZG SZSP. W obozie trwającym od 10-go do 23-go lipca wzięła udział grupa naukowców — autorów opublikowanych już w *Nurcie* artykułów (jak i tych, które dopiero będą ukazywały się w najbliższych miesiącach na łamach czasopisma) oraz 150 studentów — reprezentantów prawie wszystkich środowisk akademickich kraju. Tytuł cyklu — HUMANISTYKA i KLASY — stał się hasłem, pod którym obradowano na obozie. Codzienne dyskusje toczyły się w trzech zespołach poświęconych problematyce ekonomicznej, zagadnieniom metodologii humanistyki oraz sprawom polityki i kultury.

Sensowność i celowość spotkania w Mielnie jest chyba bezsporna. I to nie tylko dlatego, że studenci mieli okazję do bezpośredniej konfrontacji z autorami artykułów, czy też, że mieli możliwość włączenia się do dalece nieakademickiej dyskusji (bo, jak wypadaloby założyć, w ich macierzystych uczelniach czy też na konferencjach naukowych takie okazje się trafiają). Ważniejsze jest jednak to, że w Mielnie zebrał się zespół młodych naukowców, którzy faktycznie mają coś niebanalnego do powiedzenia w humanistyce polskiej. Studenci mieli niewątpliwą okazję przekonać się, że proponowane przez referentów rozwiązania są rozwiązaniami nowymi, że dyskutowana problematyka jest żywa, a poszczególne zagadnienia z zakresu ekonomii czy metodologii nauk są twórczo konstruowane.

Leszek Nowak w inauguracyjnym spotkaniu w Mielnie referacie „Klasowy charakter humanistyki” wyodrębnił trzy zasadniczo zarysowujące się postawy badawcze wobec pism klasyków marksizmu: egzegetyczną, liberalistyczną i twórczą. Nie jest bodajże konieczne tłumaczenie na czym polega pierwsza z wymienionych postaw, a także i druga jest wystarczająco znana, gdyż nader często mamy z nią do czynienia. Twórczy stosunek wobec pism klasyków zakłada uwzględnienie głoszonych przez nich zasadniczych tez, ale jednocześnie wychodzenie poza owe tezy i poszukiwanie nowych rozstrzygnięć rodzących się problemów. Przypuszczam, że postulowana przez L. Nowaką twórcza postawa badawcza może być w kręgach naukowych bez większych oporów akceptowana, gdyż jej oczywistość nie powinna budzić wątpliwości. Jednak sama zgoda na nią nie jest jeszcze wystarczającym powodem do radości i spokoju, że w polskiej humanistyce tak dobrze się dzieje. A nie jest po prostu dobrze, gdyż od realizowania w praktyce twórczej postawy większość nau-

kowców jest jeszcze bardzo daleko. Tym bardziej godny podkreślenia jest więc fakt, że właśnie w Mielnie wszystkie wystąpienia wyrażały nie tylko zgodę na postulaty L. Nowaka, lecz także były przykładem ich realizacji. Uznałabym to zdecydowanie za zaletę inspirującą nie tylko do dyskusji, ale i do dalszych niebanalnych poszukiwań.

Z przekonaniem pochwaliłam kontrowersyjność propozycji naukowców. Znacznie już mniej pewna byłabym w zupełnie innej kwestii, która przy tej okazji się nasuwa. Czy rzeczywiście owa kontrowersyjność została w ogóle dostrzeżona i właściwie odebrana przez studentów? Śmiem twierdzić, że tak nie było, co wcale nie znaczy, że młodzież mamy toporną i niechętną do myślenia. Studenci uczestniczący w obozie weszli po prostu w krąg takiego sposobu stawiania i rozwiązywania problemów, z którym nie mieli dotychczas okazji się zetknąć. Można by za taki stan rzeczy tradycyjnie obarczyć winą niezgrabne programy nauk społecznych realizowane w szkołach wyższych czy nie inspirujący, skostniały schemat wykładu akademickiego. Biadolenie nad tym jednak rzadko cokolwiek zmienia i kończy się zwykle pobożnym życzeniem, że niebawem będzie lepiej. Pozostawię więc na boku analizę kłopotów szkoły wyższej, a postaram się za-

sygnalizować problem wobec którego studenci nie muszą już być bezradni, a już na pewno nie może rozkładać rąk SZSP. Chodzi głównie o to, by nie były obce studentom twórcze poszukiwania i rozwiązania w dziedzinie nauk społecznych, by do zetknięcia się z nimi nie pozostawał jedyną okazją obóz tego rodzaju. Pewną, a może nawet znaczną szansę poprawy istniejącej sytuacji widziałabym w odpowiedniej działalności czasopism studenckich ukazujących się w naszym kraju. Jednakże w tej postaci, w jakiej się teraz ukazują, nie można jeszcze na nie liczyć, choć wysoce prawdopodobna wydaje mi się w tym wypadku pozytywna zmiana. Miesięcznik *Nurt* jak i obóz w Mielnie pokazały, że możliwa jest dobra publicystyka marksistowska, która nie tylko informuje, ale i jest w stanie zainteresować czytelników. Nie sądzę, by daremny okazały się próby wprowadzenia na łamy czasopism studenckich tego rodzaju publicystyki. Sytuacja w czasopismach studenckich nie napawa na razie optymizmem, ich profil ideologiczny jest bardzo niewyraźny, by nie rzec, że żaden. Jedynie *Student* uaktywnia się okresami, jak pokazał to cykl artykułów „Marksizm na serio myślany”, by potem znów zapaść w jakąś drzemkę.

ALEKSANDRA ŻUKROWSKA

PO LATACH 30-tu

Z okazji Dnia Nauczyciela Politechnika Wrocławska gościła delegację ze Związku Radzieckiego. Jeden z członków tej delegacji II Sekretarz Komitetu Partyjnego, Uniwersytetu im. Mendelejewa w Moskwie, Arsen ALEKSIEJEWICZ miał okazję już po raz drugi zetknąć się z naszym miastem. Pierwszy raz znalazł się tutaj 30 lat temu, kiedy jako żołnierz Armii Radzieckiej brał udział w wyzwolaniu tych ziem. Redakcja „Sigmy” zwróciła się do niego z prośbą o podzielenie się refleksjami na temat tamtych dni i wrażeniami z dzisiejszej wizyty w mieście, które oswobadzał.

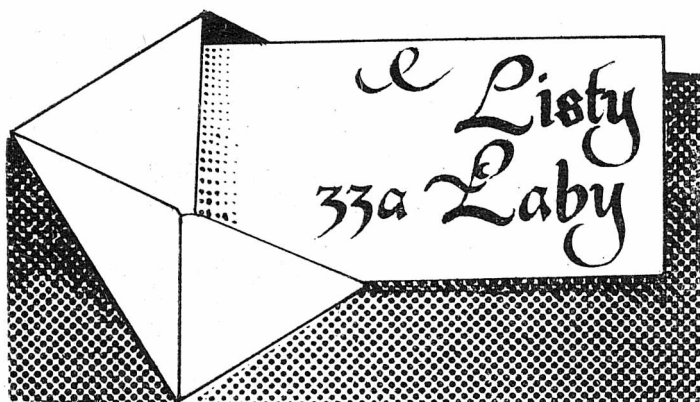
Pierwszy raz zetknąłem się z Wrocławiem w roku 1945 jako lotnik 155 Gwardyjskiego Pułku I Ukraińskiego Frontu dowodzonego przez marszałka Kaniewa. Droga nasza prowadziła na Berlin, a „Festung Breslau” była jednym z punktów, w którym hitlerowcy stawiali żały opór. Miasto szturmowaliśmy z powietrza robiąc po cztery do pięciu lotów dziennie, starając się „wysiedlić” Niemców z twierdzy. Wśród lotników odnotowano wiele strat. Nad Wrocławiem zginęło wielu moich towarzyszy. Zginął nasz komendant Nikołaj Pietrow, zginął jeden z moich najlepszych przyjaciół młodszy lejtant Gieorgij Archipow... Tu nad „Festung Breslau” został zabity wielki komendant Radzieckiej Armii utalentowany lotnik Iwan Połbin.

Miasto leżało w tym czasie w ruinach, pod nami znajdowały się schrony, w których Niemcy stawiali czynny opór. Teraz, kiedy po trzydziestu latach znalazłem się ponownie we Wrocławiu, tym razem jako „prywatny” człowiek, jeden z członków delegacji Uniwersytetu im. Mendelejewa, muszę z satysfakcją przyznać, że nie poznałem tego miasta. Na miejscach ruin wyrósł nowy bardzo piękny Wrocław —



miasto zieleni, pięknych ulic i przyjaznych ludzi. Na każdym kroku widać wielką pracę włożoną przez Polaków w budowę miasta. Widziałem jak powstaje nowa część Wrocławia i jak obok zabytkowych starych budowli wyrastają nowe domy. Odwiedziłem groby żołnierzy Armii Radzieckiej. Być może są wśród nich groby moich towarzyszy... Byłem bardzo wzruszony ogromem troski i uwagi, jaką otoczeni są ludzie, którzy 30 lat temu oswobodzili tę Ziemię. Mimo wielu przykrych wspomnień jakie wiąże z tamtymi czasami, cieszę się, że udało mi się znaleźć w miejscach, na których walczyłem będąc młodym lotnikiem. To dobrze, że rany wojny zostały zaleczone, że włożono tak wiele pracy w dzieło polepszenia życia Narodu. Wierzę, że wysiłek moich kolegów, że życie które oddali w imię wolności nie poszły na marne. We Wrocławiu widziałem wiele młodzieży... Dużo obywateli tego miasta jest akurat w wieku moich kolegów z tamtych lat. Mam nadzieję, że dla nich wojna się już nie powtórzy. Chciałbym jeszcze powiedzieć, że jestem bardzo zobowiązany Politechnice, która zaprosiła naszą delegację i umożliwiła jej zwiedzenie miasta.

Były wojenny lotnik I Ukraińskiego Frontu 155 Gwardyjskiego Szturmowego Pułku Młodszy lejtant Arsen Aleksiejewicz. (DOR)



Pod skrzydłami wujaszka Aleksandra (Autobusem przez RFN)

Używaliśmy tego określenia wszyscy — „Onkel Aleksander” czyli po polsku — wujaszek Aleksander. Jedni z nas wypowiadając je mieli przy tym być może na myśli Fundację, której od lat patronuje wielki Aleksander von Humboldt, drudzy natomiast, osobę jak najbardziej konkretną, a mianowicie przewodnika naszej wycieczki po RFN, zafundowanej nam, stypendystom przez wym. instytucję. Przed nami 3 tygodniowa podróż, podczas której mamy zwiedzić ciekawsze miasta i okolice kraju oraz przebyć ponad 4000 km po jego autostradach i szosach. Przed nami również dręczące pytanie — jaki będzie ten nasz przewodnik? Fajny czy „lewy”? Fizyczny wujaszek Aleksander okazał się studentem, należącym do tych, którym nie spieszy się z pożegnaniem uczelni. Posiadał, jak się później okazało, dostatecznie dużo fantazji i pogodę ducha nie zmaczoną żadnymi życiowymi problemami. Włosów na głowie miał już niewiele i wzrok też już nie ten, nie przeszkodziło to jednak w najmniejszym stopniu w tym, by zjednął sobie sympatię grupy.

Jeszcze zanim się z nim spotkałem, miałem mu za złe, że w swojej biografii, podanej nam między innymi informacjami jeszcze przed wycieczką, tak skrupulatnie podkreślił, iż urodził się w miejscowości Fischdorf (Warthegan). Młodsza generacja czytelników być może nie wie, że mianem „Warthegan” określano podczas okupacji tą część Polski, która pokrywa się mniej więcej z obszarem Wielkopolski i że nazwa ta wielu pokoleniom Polaków kojarzy się z zachłannością pruską, z perfidnymi metodami germanizacyjnej polityki Bismarcka i Hakaty, wreszcie z bezpardonową aneksją prowincji „Warthegan” do obszaru III Rzeszy. Przy rozmowie na ten temat był trochę zdziwiony moim uczuleniem nomenklaturowym, przyznał jednak mi rację, że w takim historycznym kontekście, na pewno byłoby stosowniej gdyby zamiast niefortunnego „Warthegan” napisał po prostu, iż urodził się „bei Posen” (koło Poznania).

Po tych wstępnych dywagacjach czas jednak wyruszyć w drogę. W pełne deszczu, majowe popołudnie startujemy z Brunszwiku do Berlina Zachodniego. 40 osób z 18 krajów. Najliczniejsza nacja — Polacy (8), najbardziej egzotyczny kolega — stypendysta z Nigerii. Potem okazało się, iż można byłoby jeszcze kilka tytułów „naj...” rozdzielić, a wśród nich wymienić trzeba: najweselszy duet z południowo-amerykańskiego kontynentu stworzony z argentyńskiego chirurga i chilijskiego profesora, najsympatyczniejsza para małżeńska Szkota z Angielką, no i całe najważniejsze pod słońcem towarzystwo.

Do Berlina Zachodniego docieramy bez przygód. Trochę czekania na granicy było pretekstem do mniej lub bardziej żłośliwych uwag niektórych uczestników pod adresem służby granicznej NRD, które to uwagi kilka dni później, przy ponownym przekraczaniu granicy koło Hamburga nieubłagane miały odwrócić się przeciw ich autorom. W tym drugim przypadku służba graniczna RFN popisała się nie mniejszą skrupulatnością nakazując wszystkim stypendystom z krajów obozu socjalistycznego wysiąść z autobusu i przejść na

odprawę paszportową do leżącego nieopodal baraku. Całość formalności trwała niewiele krócej niż przy wyjeździe do NRD, co dało nam okazję do zrewanżowania się za docinki usłyszane w Helmstadt.

Mnie osobiście Berlin Zachodni rozczarował. Szukając przyczyny, znajduję tylko jeden powód — wyspiarska atmosfera. Tworzyły ją twarze spotykanych ludzi i rozmowy z nimi, czuło się ją na ulicy, w kawiarni czy parku. Cały dzień przemierzaliśmy to miasto z bardzo obiektywnym przewodnikiem, nie wahającym się pokazać nam obok błyszczącej strony medalu również to, co jest wstydem i zarazem troską ojców miasta. Pokazano nam piękną w architekturze i nowoczesną w konstrukcji Halę Kongresową. Dalej dzielnicę, której oblicze ukształtowali architekci z 14 krajów, realizując na danej każdemu z nich do dyspozycji powierzchnię, własne, oryginalne wizje urbanistyczne. Jednym z czternastu był słynny Corbusier.

Poza ogromem, projekt jego zewnętrznie niczym nie imponuje. Została w nim jednak zrealizowana myśl, by wszelkie potrzeby mieszkańców tego domu mogły być zaspokojone na miejscu, co lapidarnie podsumował nasz przewodnik, mówiąc że z domu tego od urodzenia do śmierci można nie wychodzić, mając przy tym zapewnione wszystko co potrzebne jest jednostce do życia łącznie z kinem, teatrem, basenem, pływakim czy kortami tenisowymi. Mimo wszystko nie chciałbym mieszkać w takim kombinacie. Zupełnie odmienne budziły się w człowieku pragnienia, gdy mijaliśmy dzielnice rozłożone wokół Grunewald. Tu mieszka bogatsza część obywateli Berlina Zachodniego. Za równo strzyżonymi parkanami — wille jak z żurnala, okolone zielenią świeżo strzyżonych trawników przeplatanych kobiercami majowych kwiatów. Jakże mocno kontrastują z tym komfortem dzielnice rozłożone wokół Kreuzbergu, ciemne kaniony ulic, utworzone z ponurych fasad czynszowych kamienic. Brudne, studzienne podwórka wypełnione bawiącymi się dziećmi, dla których brakuje miejsc w żłobkach i przedszkolach. Ich ojcowie i matki stanowią ponad 10% robotników zatrudnionych w miejscowych zakładach przemysłowych. Bez ich pracy trudno sobie dziś wyobrazić funkcjonowanie przemysłu i życia w mieście, dla nich jednak wciąż brak i brakować będzie środków na potrzeby socjalne, nawet tak elementarne jak mieszkanie.

Berlin Zachodni to liczące się centrum życia teatralnego. Opera zachodniobermberska zaliczana jest do najlepszych w świecie. Osobiście miałem przyjemność spędzić wieczór w słynnej Filharmonii. Gmach, o którym już tyle przedtem słyszałem, zaskoczył mnie swoją kontrowersyjną sylwetką zewnętrzną. Wnętrze jednak zadowolić może każdego miłośnika sztuki. Widownia okala ze wszystkich stron estradę. Z każdego miejsca można doskonale widzieć i słyszeć to, co się dzieje na tej trochę nietypowej scenie. Nie żałowałem specjalnie tego, że zamiast koncertu mieliśmy w tej dostojnej scenerii zobaczyć znany zachodniemiecki zespół kabaretowy o nazwie Instertburg & Co. Jest to odpowiednik naszej „Elity”, chyba jednak od niej trochę lepszy. Wspominałem satyryczne teksty. Mistrzowska żonglerka słowna w wykonaniu niezwykle dowcipnych kuglarzy o niemałych w dodatku talentach muzycznych. Ubawiłem się świetnie, choć muszę przyznać że nie wszystkie aluzje poniał.

Następnego dnia — wycieczka do Berlina. Jako bywały w tym mieście postanowiłem ten dzień poświęcić swoim zawodowym zainteresowaniom i zwiedzić przy okazji pobytu w Zachodnim Berlinie Uniwersytet Techniczny, a ściślej — pokrewny swojej branży Instytut Obrabiarkowy prof. Spura. Obiad jem wraz z gronem młodszych pracowników instytutu w olbrzymiej, jedynej na uczelni stołówce, mieszczącej 22 tys. studentów. Na ścianach holu i w samej stołówce reklamowany jest występ Niemena. Jego płyty widzę w oknach wystawowych sklepów muzycznych i na studenckich kiermaszach. Właśnie podczas studiowania takiej wystawy dużego magazynu płytowego przy Kurfürstendamm — głównej tutejszej promenadzie, wzrok mój padł na wywieszkę w drzwiach wejściowych. To, co zobaczyłem sprawiło że poczułem się swojsko: „Z powodu inwentaryzacji sklep nieczynny”. No proszę, a my narzekamy kiedy nas we Wrocławiu przy tej okazji na ogół przeproszą i w dodatku poinformują, że najbliższy sklep tej branży mieści się na drugim końcu miasta i można tam w mig podskoczyć. Pod wieczór spotykamy się znowu wszyscy razem w hotelu, by rankiem wyruszyć w kierunku Hamburga.

Wasz zhelmuciały
Chimek

Brunszwik dn. 15.09.1974 r.

W PRACOWNIACH NASZYCH UCZONYCH

W ostatnich latach obserwujemy w naszej Uczelni burzliwy rozwój badań naukowych. Oryginalne publikacje, ciekawe rozwiązania konstrukcyjne, są zjawiskiem tak powszechnym, że prawie niemożliwe wydaje się przedstawienie pełnego materiału informacyjnego, ilustrującego wyniki wszystkich prac badawczych. Otwierając dziś cykl „W pracowniach naszych Uczonych” chcemy przez prezentację najbardziej wartościowych osiągnięć dokonanych w Politechnice, choć w części zapłacić tę lukę informacyjną. Żenującą bowiem wydaje się sprawa, że o wielu cennych procesach naukowych, których autorami są pracownicy naszej Uczelni, dowiadujemy się dopiero z notatek prasowych.

Dziś oddajemy szpalty SIGMY prof. dr hab. Zdzisławowi BUBNI-KCIEMU – kierownikowi Zakładu Systemów Sterowania Instytutu Cybernetyki Technicznej.

— *Panie Profesorze, czy mógłby Pan w kilku słowach scharakteryzować zakres problematyki naukowej prowadzonej przez Pana Zakład?*

— Rozwój automatyki, a w szczególności kompleksowych systemów sterowania doprowadziły do początków kształtowania się nowej dyscypliny, jaką jest nauka o systemach. Jest to podstawowa dyscyplina uprawiana

w Instytucie, a pewna jej część jest przedmiotem badań Zakładu Systemów Sterowania. Prace naukowe Zakładu koncentrują się wokół problematyki podstaw teoretycznych i metodyki projektowania założonych systemów sterowania, a w szczególności dotyczą zagadnień identyfikacji systemów i obiektów sterowania oraz algorytmów i systemów sterowania kompleksami operacji.

systemy sterowania

Przedmiotem identyfikacji są metody ustalania modelu matematycznego systemu rzeczywistego na podstawie rezultatów badań eksperymentalnych. Metodologicznie wiąże się z tym zagadnienie rozpoznawania obiektów na podstawie wyników eksperymentów...

Na tym polu Zakład może się poszczycić wieloma oryginalnymi i liczącymi się w skali światowej rezultatami. Dotyczy to m.in. opracowania metody identyfikacji globalnej systemów złożonych, sformułowania nowych algorytmów rozpoznawania obiektów (dotyczy to szczególnie rozpatrywania ciągu obiektów opisywanych w postaci procesu Markowa), syntetycznego opracowania algorytmów identyfikacji w zadaniach parametrycznych.

...Z pracami z zakresu identyfikacji wiążą się prace Zespołu nad problemami sterowania eksperymentem dla potrzeb systemu automatyzacji prac laboratoryjnych w ramach WASC-u.

Drugi zakres tematyczny prac Zakładu to problemy sterowania kompleksami operacji. Te dwa nurty: identyfi-

kacja i sterowanie operacjami są ze sobą ściśle powiązane, bowiem w wyniku identyfikacji powstaje model obiektu sterowania.

W tej dziedzinie Zakład ma do odnotowania niewątpliwie osiągnięcie jakim jest opracowanie oryginalnych metod sterowania złożonymi systemami technologicznymi i obliczeniowo decyzyjnymi, traktowanymi jako kompleksy operacji, a także opracowanie modeli i koncepcji sterowania systemu transportowego traktowanego jako kompleks operacji. Za prace w tym zakresie Zespół uzyskał nagrodę naukową Sekretarza PAN.

...Celem prac podstawowych z dziedziny sterowania kompleksami informacji, jest opracowanie podstaw teorii przydatnej dla projektowania odpowiednich systemów sterowania. Z tymi pracami teoretycznymi wiąże się odpowiednie prace aplikacyjne. Np. pewne nasze pomysły z zakresu identyfikacji wykorzystywane są obecnie przy opracowywaniu programów identyfikacji procesu syntezy amoniaku, a także przy opracowywaniu metod rozpoznawania składu materiału (wyróżniona praca doktorska dr Hasiewicza). Zespół zajmuje się również opracowaniem fragmentu sterowania produkcją cementu z cyfrowym komputerem sterującym. Pierwszy etap tych prac, prowadzony wspólnie z odpowiednim instytutem resortowym w Opolu zakończył się wdrożeniem. Opracowano metody i algorytmy sterowania dla działu przygotowania surowca w cementowni, oraz odpowiednie programy dla komputera sterującego.

— *Za prace w tej dziedzinie otrzymał pan Profesor w tym roku nagrodę Sekretarza Naukowego PAN!*

— Tak, ale chciałbym w tym miejscu już dziś z całą pewnością można stwierdzić, że warto wprowadzić nowe formy intensywnego kształcenia przyszłych naukowców, które umożliwiają szybszy niż dotąd start naukowy tym młodym ludziom, którzy są szczególnie do tego predysponowani.

— *W wypowiedziach pana Profesora padło wiele fachowych określeń z dziedziny systemów sterowania i nauki o systemach. Czy zechciałby Pan bliżej scharakteryzować prace z tego zakresu?*

— Są to prace z zakresu metodologii techniki. Nasze opracowania kończą się z reguły nie projektami konstrukcji urządzeń, lecz programami dla komputerów, bądź dla potrzeb modelowania, bądź dla potrzeb sterowania procesami. Nauka o systemach jako odrębna dyscyplina naukowa i techniczna dopiero się kształtuje. Jak trudno jest w tej chwili wprowadzić tu określone schematy i uporządkowania mam okazję sam stwierdzić, pisząc obecnie podręcznik „Podstawy teorii systemów” na zlecenie PWN.

— *Jest niemal publiczną tajemnicą, że w Pana Zakładzie istnieje zawrotne tempo przy robieniu doktoratów. Przykładem może być dr Kurzyński, który stopień doktora uzyskał w dwa lata po ukończeniu studiów.*

— Zawrotne tempo nie jest może w Zakładzie regułą. Inspirowani i zachęceni przez Kierownictwo naszej Szkoły staramy się w tej dziedzinie eksperymentować (mam tu na myśli studium doktoranckie, którego absolwentem jest dr Kurzyński, a kilku jego rówieśników kończy obecnie swe prace doktorskie). Na pełną analizę wyników eksperymentu jeszcze za wcześnie, ale

Zakład liczy 16 pracowników naukowo-badawczych dydaktycznych w tym 5 adiunktów, spośród których dr W. Grebliński zakończył już rozprawę habilitacyjną. Jest to zespół młody, który rozwinał się w ciągu ostatnich 6 lat. Dzięki wynikom prac publikowanych i przedstawianych na konferencjach zespół zyskał sobie pozycję jednego z przodujących w kraju w dziedzinie systemów sterowania. Kierownik Zakładu — prof. dr hab. Zdzisław Bubnicki — członek Komitetu Automatyki i Cybernetyki PAN, członek Prezydium Polskiego Komitetu Pomiarów i Automatyki i przewodniczący Sekcji Szkolenia tego Komitetu, jest jednym z czołowych polskich automatyków i cybernetyków. Ma on na swoim koncie ok. 50 publikacji naukowych oraz monografię „Identyfikacja Obiektów Sterowania” wydaną przez PWN. Jest promotorem siedmiu zakończonych przewodów doktorskich oraz pięciu znajdujących się na etapie końcowej redakcji. Prof. Bubnicki cieszy się również określoną pozycją za granicą, dzięki swoim pracom publikowanym w zagranicznych czasopiśmie i prezentowanymi na międzynarodowych konferencjach oraz dzięki działalności w Komitecie Edukacji Międzynarodowej Federacji Automatyki. Był zapraszany na wykłady do Związku Radzieckiego, Włoch, Francji, Wielkiej Brytanii.

Rozmawiała i informacje zebrała: MALGORZATA KRAMKOWSKA

Rozważania Marginesowe

żaba ma głowę płaską i cztery łapy do skakania

„Uczyć się nie myśląc to daremny trud, myśleć nie ucząc się to wręcz niebezpieczne”
Konfucjusz

Isi, jednej z wielu

C o roku, mniej lub bardziej hucznie, w zależności od zasobów materialnych poszczególnych Rad Instytutowych ZOZ, polotu i inwencji działaczy, a także swoistej interpretacji przepisów Premiera, obchodzony jest w naszej uczelni Dzień Nauczyciela. I co roku, gdy jem świąteczny pączek, zachodzą mnie obawy, czy nie jest czymś obrazoburczym to duchowe łączenie się z ogromną rzeszą handlarzy wiedzą niższego szczebla. Bo czyż doznajemy chociażby w części zawodów i goryczy, uczuć całkowitej beznadziei, czyż znane są nam okresy załamania i zwątpienia, nastroje właśnie im

przypisane? Przedmiotem nauk serwowanych przez nas pobierającym wiedzę są na ogół pojęcia abstrakcyjne, których przeciętnemu śmiertelnikowi nie jest dane dotknąć i pomacać, ba, niekiedy nawet ujrzeć. Brak zrozumienia, nieufność w poglądy naukowe przez nas głoszone mogą mieć źródło właśnie w tej abstrakcyjności. Tak w każdym razie możemy sobie to wytłumaczyć. A i grono słuchaczy mamy nieźle dobrane, a jeżeli nawet dostrzeżemy braki w tej mierze, mamy przywilej pomniejszenia tego grona o osobników najmniej pojętnych. Lecz sytuacja naukowa, powiedzmy w takiej szkole podstawowej, jest o wiele gorsza. Nauca o rzeczy oczywistych, rzeczy, z którymi dzieci spotykają się na każdym kroku. Bo atomu, cząsteczki, elektronu w życiu codziennym nie uraczysz, a to, że np. drzewo rośnie korzeniami w dół, a pies ma cztery łapy, spostrzec na ogół łatwo. Tego typu wiadomości dzieci

powinny przynosić do szkoły, aby już nie liczyć w kółko tych łap, ale zając się czymś mądrzejszym jak np. nauką tego z czego się te łapy składają i jaka jest rola korzeni. Szkoda się trudzić wpajaniem czternastoletniemu młodzieńcowi, że pies bynajmniej nie ma pięciu czy trzech łap, ale właśnie cztery. Wydawać by się bowiem mogło, że na tym etapie edukacji uczeń wykazywać się powinien tym minimalnym stopniem wiedzy. Życie niestety uczy nas, że jest inaczej.

Uczniowie siódmej klasy jednej ze szkół wrocławskich pisali wypracowania na temat dwu najwykleszych na ziemi stworzeń: na temat żaby i ryby. Postanowiłem przedstawić fragmenty tych swoistych rozpraw naukowych, których autorzy błędą i płaczą się w gąszczu spraw dla siebie nie bardzo pojętych i ciągle jeszcze prawie nie odkrytych. Na początek spróbujmy dokończyć przegląd informacji zawartych w pracach. Niektóre rozprawy są krótkie i w lapidarniej formie ujmują całość wiedzy jaką dysponują autorzy na zadany temat (styl i ortografia oryginalne):

Kończyny tylne żaby służą jej przy podskokach. Żaba także ma kończyny przednie, czaszkę, klatkę piersiową i szkielet żaby. Żaba oddycha. Autor powyższej dysertacji prawdopodobnie nie był pewien co do liczby kończyn przednich i tylnych, więc wołał kwestię tę dyskretnie przemilczeć. Następny jednak uważał to zagadnienie za rozstrzygnięte: Żaby mają 4 łapy stylu służą do skakania a w wodzie do odpychania się. Skóra jej jest nie przyjemna. Żaba ma głowę spłaszczoną. Nos i oczy ma na galkach. Ciało jej pokryte jest śluzem. Jest rzeczą charakterystyczną, że motyl służy i jego roli w życiu codziennym żaby przewija się w badanych pracach kilkakrotnie: Żaba pokryta jest śluzem, dzięki któremu chroni się przed wyschnięciem ale zaraz w drugiej pracy czytamy: ...ma ona ciało pokryte śluzem, zmniejsza tarcie, nogi krótsze a nogi tylne dłuższe mają błony.

Już z tych przytoczonych przykładów wynika, że rola tego płynu fizjologicznego pokrywającego ciało żaby nie jest jeszcze dostatecznie zbadana i pozostaje nadal kwestią otwartą.

Jedna z prac zawarta w jednym zdaniu przejawia ukryte kompleksy i tę-

skonoty ludzkości: Żaba przystosowana jest do środowiska. Jej zielona barwa umożliwia jej bezpieczeństwo na łądzie w śród traw.

Laboratoria naukowe i prace badawcze, jak wiadomo, zajmują się coraz bardziej wąskimi zagadnieniami. Nie należy więc się chyba zdziwić, że większość rozpraw o żabie poświęcona jest nie ogólnym rozważaniom, a fragmentarycznym, konkretnym zagadnieniom, na których skupiła się cała uwaga poszczególnych autorów. Stosunkowo spora ilość prac zajmuje się oczami, żeby nie powiedzieć żabią okulistyką. Przytoczę trzy przykłady. W drugim i trzecim fragmencie radzę zwrócić uwagę na ciekawie, nowatorsko ujęty i dyskretnie przemycony problem przyczynowości w przyrodzie: W budowie zewnętrznej: oczy, którymi może widzieć dookoła niej... Żaba nie może poruszać głową, dlatego ma duże oczy prawie, że na wieżach i może nimi poruszać w dowolną stronę. Ten fragment pochodzi prawdopodobnie z pracy estety. Następny autor ujmuje to samo zagadnienie, nazywając już rzecz po imieniu: Żaba nie może poruszać łbem lecz ma

wylupiaсте oczy, które umożliwiają jej patrzenie.

Jednak najpopularniejszymi wydawały się być zagadnienia związane z problemem ruchu u żaby. Treść ich jest tak wymowna, że nie będę ich komentował. Pozostawmy głos i trybunę samemu autorom: Żaba może się poruszać przy pomocy błon, które ma pomiędzy palcami. Żaba posiada cztery kończyny, z tego tylne są połączone błoną co umożliwia jej pływanie. Kończyny są bardzo umięśnione a także dłuższe od przednich, dzięki nim żaba świetnie skacze. Żaba ma kończyny umieszczone z boku i z tego powodu żabie łatwiej jest skakać niż chodzić. W tylnych kończynach możemy zauważyć pięć palców a w kończynach przednich tylko cztery palce. Żaba kiedy idzie to ciągnie brzuch po ziemi. Żaba posiada kończyny, które są ustawione w stawach dzięki którym mogą się poruszać w wodzie i na łądzie. Żaby poruszają się wolno ale gdy zajdzie potrzeba może skakać.

Na zakończenie przeglądu o tym skomplikowanym jak widać stworzeniu jakim jest żaba, chciałem przytoczyć pracę, która nie odbiegając tematem od zadanego zajmuje się w dużej mierze problemami socjologicznymi: *Większość czasu żaba poświęca na spozywanie owadów na lądzie. Do poruszania się na lądzie ma cztery łapy. Żaba może brzebywać pod wodą krótki czas i ponownie musi naprac powietrza ma głowie spłaszczoną aby nie stawiać dużego oporu. Żabie w oddychaniu pomaga także skóra, która ma w sobie malenkie dziureczki.*

Z kolei prace na drugi temat „przystosowanie ryby do środowiska” są już o wiele bardziej jednolite w formie i treści. Wydaje się być prawdopodobne, że wpłynęła na to większa popularność jaką cieszy się to stworzenie w środowisku miejskim, co tym samym umożliwiło autorom bardziej wnikliwe potraktowanie kwestii. Wprawdzie niektóre z tych prac wyróżniają się oryginalną formą stylistyczną, która w pewnych przypadkach może nawet poważnie utrudniać zrozumienie treści, to jednak pozwolę sobie przytoczyć parę prac w całości, gdyż niewątpliwie z różnych względów zasługują na to: *Ryba przystosowuje się bardzo prędko do środowiska. Umożliwiają jej to pletwy: u ryby wymieniamy kilka rodzaj pletw..., Ryba jest o dwóch bokach spłaszczono co zmniejsza opór wody w momencie poruszania się ryby. Na całym ciełe ryby są uski ułożone dachufkowato w kierunku ogona na tych uskach znajduje się śluz ktury powoduje że ryba jest śliska i zmniejsza tarcie. Ryba ma serce. Serce nie bierze udziału w gazie tylko w tłoczeniu krwi. Serce jest czerwone od krwi. Ryba okryta jest łuskami zwróconymi ku ogona. Ryba jest pokryta śluzem do zmniejszenia tarcia. Ma pletwę ogonową do sterowania, grzbietową, umożliwia rybce utrzymanie w postawie pionowej, pletwa odbytowa do usuwania wnętrzości pletwa pierścieniowa i brzuszna służy do poruszania się w wodzie rybce. Łuski ryby są dachówkowate. Ma głowę. Ryba jest dwubocznie spłaszczona. Ryba posiada łuski ułożone dachówkowato ku ogonie. Jest pokryta śluzem który zmniejsza tarcie. Ryba ma dwie pletwy piersiowe i dwie brzuszne. Ma pletwy jeszcze ogonową i odbytową ogonowa służy do sterowania, odbytowa do odprowadzania odchody, grzbietowa do utrzymania ryby, piersiowa do ukształtowane kończyny służy do poruszania się. Ryba przystosowała się do środowiska wodnego w ten sposób, że posiada ona takrze skrzela, które umożliwiają je oddychanie tlenem z wody. Posiada łuski ułożone dachówkowate w kierunku ogona które nie stawiają oporu, wodzie, wydziela takrze śluz który osiada na ciełe ryby powodując ślizg wody przez ciało ryby.*

Autorzy przytoczonych wyżej prac mają minimum po czternaście lat. Bo zdarzają się i tacy po szesnaście. Przerażające jest w tych pracach właściwie wszystko: całkowity brak umiejętności w formowaniu myśli, stylistyka, ortografia. A przede wszystkim brak elementarnej wiedzy o otaczającym świecie. Słowem, co tu ukrywać, to już skrajny analfabetyzm, żeby nie powie-

dzieć debilizm. Strach pomyśleć, że taki poziom reprezentują ludzie prawie dorośli, wielu z nich za niewiele lat zabierze się na serio do płodzenia potomstwa. A co z niego wyrośnie? Włosy stają dęba na głowie...

Co ma począć nauczyciel z takimi uczniami? Jakie uczucia muszą się przełamywać w tym biednym człowieku? Przecież nie opowiada on dzieciom o stworach z Marsa, ale o czymś, co skacze po łące i pływa w wodzie. Przecież

każde z tych dzieci, wiele, wiele razy w życiu spotykało się oko w oko z żabą czy rybą. Czyż nie można się załamać?

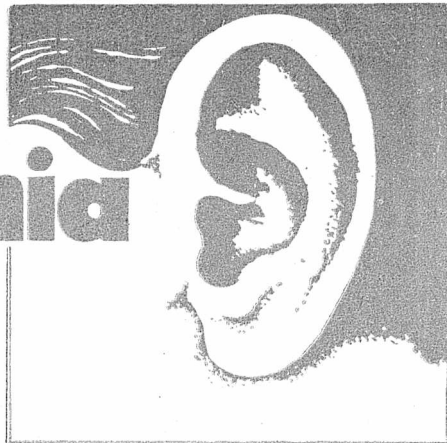
Ciężka, ciężka, niewdzięczna, a czasami wręcz beznadziejna jest praca nauczyciela. Spróbujmy częściej niż raz do roku pochylić w zadumie głowę nad krwawym trudem tych, którzy padli ofiarą przekleństwa: „obyś cudze dzieci uczył”.

Pepe

Fot. G. KAMINSKI



zwierzenia intymne



Tomasz Wielicki

DONOS NA PIOSENKĘ STUDENCKĄ

W związku z faktem, iż koledzy coraz częściej robią pod moim adresem różne aluzje odnośnie zaniku mej dziennikarskiej inwencji na łamach — postanowiłem napisać niniejszy felieton. Już z założenia będzie to felieton zły — co przez uczciwość pt. Czytelnikom komunikuję — ponieważ nie będzie on spontaniczny i „walczący”, lecz po prostu pisany na zapotrzebowanie (zdaje się, że — społeczne). Tematu do niego dostarczył mi zupełny przypadek. Otóż siedziałem sobie pewnego dnia bardzo zmęczony w Redakcji i wpatrując się beznamiętnie w zielone sukno redakcyjnego stołu (bo kolegium redakcyjne w „Sigmie” posiada stół z zielonym suknem, taki sam jak kolegia karno-administracyjne i inne czasopisma) zastanawiałem się właśnie na kogo napisać donos, gdy wtem pani Maria (bardzo ważny sekretarz redakcji) położyła przede mną papierową teczkę. Było na niej napisane czerwonym flamastrem — Konkurs na Piosenkę Studencką. I wtedy już wiedziałem — napisać donos na studencką piosenkę!

Temat wydał mi się łatwy, bo taki lekki, słowno-muzyczny i na dodatek było kogo opieprzyć. Lecz kiedy przeglądałem teksty piosenek nadesłanych do Redakcji w ramach konkursu, to mi się nagle ... łza zakręciła w oku i zebrało mi się na chwilę wspomnień. Bo proszę sobie wyobrazić, że zanim tak bardzo spoważniałem, że aż zacząłem pisać w „Sigmie”, to sam też kiedyś pisałem i komponowałem piosenki studenckie. Na początku były to tylko i wyłącznie piosenki o miłości, dziewczynie, wschodach i zachodach słońca, wiosennych rozkwitaniach, jesiennych rozstaniach, mgłach, deszczowych pocałunkach, pocałunkowych deszczach, szumach szuwarów... aż w tym szybkim tempie dojrzewania artystycznego doszedłem do swoistego twórczego klimakterium. Uświadomiłem sobie bowiem nagle, że czegokolwiek bym o miłości i problemach pochodnych nie napisał, to nigdy nie będzie to nic nowego. Zawsze bowiem będzie to jakiś zlepek pomysłów, na które wpadło przede mną wielu autorów. I w ten oto

sposób zacząłem stawiać swoim piosenkom nowe, inne wymagania. Moim ulubionym typem stała się piosenka problemowa, piosenka z określonym tematem, refleksją... po prostu „piosenka publicystyczna”. Taki też typ piosenki najbardziej faworyzuję do dzisiaj (już bardziej jako słuchacz niż autor). Te moje piosenki poetycko-publicystyczne pisałem o wiele rzadziej, ale za to dużo więcej nad nimi pracowałem. Były tam jakieś piosenki o rasizmie, o istocie szczęścia, o problemie śmierci, i bohaterstwie w czasie wojny, o marazmie młodego pokolenia itp. W tym właśnie czasie organizowano eliminacje na Ogólnopolski Festiwal Piosenki Studenckiej. Oczywiście postanowiłem startować. Zaśpiewałem tam piosenkę pod tytułem „Na Anioł Pański dzwonią dzwony” — była to piosenka o wierze i ludziach wierzących, o których — z punktu widzenia ateisty — napisałem, iż są oszukiwani w swojej wierze i zaśluguja na litość naszą, ludzi niewierzących. Szło mi nawet nieźle, do momentu, gdy w finale piosenki, po opisie śmierci człowieka, która wcale nie jest początkiem jakiegoś innego pozagrobowego życia — zacząłem śpiewać łaciński cytat z „Prób” francuskiego filozofa Montaigne'a: *non alium videre patres, alium-ve nepotes aspicient* [nic innego ojcowie nasi nie widzieli i wnuki nie zobaczą]. W tym miejscu skończyła się już cierpliwość jurorów i zaczęli ziewać ostentacyjnie. Braw było również mało, za to patrzono na mnie jakoś podejrzliwie. Pierwsze miejsce zajęła piosenka pod tytułem „W studenckim świątku”. Było tam o tym jak to studenci żyją ze stypendium, a potem z przyzwyczajenia, jak to nam minister mógłby podnieść stypendia (było to cztery lata temu, więc już problem nieaktualny), o tym jak to musimy kuć do egzaminu i jeszcze kilka innych („słuchaj stary gdzieś ty był”). Nie zdziwiło mnie, że jury przyznało tej piosence pierwsze miejsce, bo miałem o jury złe zdanie, jak każdy konkursowicz we wszystkich konkursach na całym świecie. Ale kiedy piosenka zyskała powszechną aprobatę publiczności, byłem załamany.

Jeszcze tego samego wieczoru przeprowadziłem konstruktywną krytykę wątpliwych wartości ideowo-literackich swojej piosenki. Wynikało z nich niezbie, że jest to utwór oderwany od życia, daleki od realizmu, zajmujący się nieważnymi problemami o podłożu klerykalnym, w swej treści będący przejawem skrajnego dekadentyzmu i pseudofilozofii. Zaleciłem więc sobie na przyszłość tworzyć piosenki tkwiące głęboko w realiach studenckiego życia, piosenki autentyczne i trafiające do środowiska, łatwe, lekkie i przyjemne w myśl optymistycznego hasła, że trzeba nam „z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe!”. Siegnąłem. Napisałem natychmiast piosenkę pod tytułem „Studencka miłość”. Stosując czytelne rymy częstochowskie, śpiewałem w niej o tym, że miłość studencka stoi przemoczona na przystankach, że student ma uczuć ekstremę, szczególnie gdy forsę już nie ma, że student pełen gracji czyni ze studentkami genów permutacje i że znowu mu się pozmienią gusty i powie, że jego miłość, to tylko zbiór pustych itd. Koledzy w akademiku orzekli jednogłośnie — fajnie to wyszło! Była tylko jedna osoba, która tej piosenki nie cierpiała. Jej autor. Koledzy się jednak tym nie przejmowali i czasami śpiewali ją w czasie rajdów. Radzili mi nawet, abym z nią wystartował w eliminacjach w następnym roku, twierdząc, że mam szansę na dobre miejsce. Ja się jednak nie zgodziłem. Co tu dużo gadać — wstydzilem się. Była to chyba ostatnia przeze mnie skomponowana piosenka.

Tyle wspomnień. Odnośnie wzmiankowanego konkursu na piosenkę studencką przyznam, że nie mam się odwagi wypowiadać, gdyż nadesłane piosenki oceniało w redakcji SIGMY tak wysoko postawione jury, że byłoby to szczyt obskurantyzmu z mojej strony, gdybym takowego werdyktu nie zaakceptował. Ze swej strony mogę tylko dodać, że piosenka studencka pt. *Zachodnie 1 + 2*, którą uznano za najlepszą i przyznano II nagrodę, a która opowiada o tym, że jak we Wrocławiu dwóch chłopców kocha się w jednej dziewczynie, to najczęściej korzysta ktoś trzeci; posiada rzeczywistość bardzo bogate podłoże socjologiczne i psychologiczne, jest ciekawą i pełną realizmu analizą naszego regionalnego folkloru i jego typowych cech erotyczno-psychologicznych. Tekst osadzony głęboko w realiach naszej rzeczywistości nie jest jednocześnie pozbawiony walorów naukowych, gdyż autor udowodnia w nim pewien probabilistyczny charakter kontaktów osobników męskich z osobnikami żeńskimi na terenie naszego regionu. Jednocześnie konstrukcję literacką piosenki pogłębia ciekawe niedopowiedzenie w jej poincie, gdzie mówi się, iż „z dziewczyny korzysta ktoś trzeci”. Pozostawia to u słuchacza frapujący niedosyt intelektualny i jak w filmach Bunuela natychmiast budzi pytanie-refleksję: „kto do cholery?”

Wracając jednak do donosu na piosenkę studencką, to się rozmyśliłem. Po prostu go nie napiszę. No bo właściwie do kogo? W każdym razie najważniejsze, że zrobiłem swoim znajomym na złość i napisałem ten felieton.

Do następnego zwierzenia

TOMASZ WIELECKI

studenckiej przychodni dzień powszedni

Marek Szewczyk

Przed rokiem wrocławskie środowisko studenckie otrzymało nową, długo oczekiwaną placówkę służby zdrowia. Zakład Opieki Zdrowotnej dla Szkół Wyższych miał rozwiązać nabrzmiałe przez lata problemy zarówno lokalowe jak i personalne. Wreszcie studencka służba zdrowia została skomasowana w jednym miejscu. Zniknął mit walących się pomieszczeń i zakamufLOWANYCH w labiryntach piwnicznych gabinetów przyje-
jęć. Więcej: studenci otrzymali swój oddział szpitalny. Plac Katedralny 9 miał być symbolem dumy wrocławskiego świata żaków.



Fot. A. SZYMANSKI

Bez mała rok temu na łamach SIGMY „rozpływałem” się nad zaletami, możliwościami i wyposażeniem tego obiektu. Byłem szczęśliwy jak chyba większość korzystających z usług piwnicznych pomieszczeń „Teków” czy innych rozrzuconych po całym mieście gabinetów specjalistycznych. Wreszcie koniec z kolejkami, koniec z małą przepustowością, koniec ze znikomą możliwością wyboru specjalisty. Nowa przychodnia rozwiąże te problemy. O naiwny! — ktoś mi powie — i niestety będę musiał mu przyznać rację.

Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że „wszystko gra”. Czysto, na terenie ZOZ-u obowiązuje zakaz palenia tytoniu, nie ma kolejek przed gabinetami lekarskimi i przy okienkach rejestracyjnych. Wymarzone warunki dla pacjentów i lekarzy. Tak, wszystko to jest piękne, tylko że... jest już akurat godzina 19. Tak się złożyło, że nie miałem wcześniej czasu, ale skoro przychodnia pracuje również po południu... Oczywiście czytelniku, masz rację pytając, jak jest w godzinach przedpołudniowych, czy wczesnopopołudniowych.

Godz. 7.30

Przychodnia pracuje już od pół godziny. Zaczął się też ruch zarówno pacjentów jak i spieszących do pracy osób obsługujących ZOZ. Przed okienkami rejestracyjnymi nie ma kolejek, są natomiast przed niektórymi gabinetami. Ale cóż to za kolejka — cztery osoby. Pytam, ilu już zostało przyjętych przez lekarza? Na twarzach czekających pojawia się dziwny grymas. — Pan chyba żartuje, a może pan z pierwszego roku? Teraz śmiech króluje w zagadniętej czwórce — przecież dopiero 7.40. — No tak, oczywiście... tylko, że na drzwiach pisze od 7.00 do 13.00. Z pierwszego roku — kwituje machnięciem ręki pani wyglądająca na doktorantkę.

Godz. 8.00

Coraz większy ruch. Biegania. Studenci z kartami i książeczkami zdrowia, pielęgniarki — ze sterylizatorami tudzież szklanymi naczyniami, na które potocznie mówi się szklanki. Kolejne grupy pracowników ZOZ-u podpisują listę obecności.

Godz. 8.15

Pan w szatni energicznym ruchem chowa listy obecności. Pierwsi „obsłużeni” pacjenci opuszczają Przychodnię.

Godz. 9.00

Kolejka przed gabinetem okulistycznym (12 osób, ale idzie sprawnie). Kolejka 15 osób do internisty (chyba epidemia grypy; poniekąd nieszkodliwy Influmin i vit. C). Ginekolog ma też sporą grupkę pacjentek, nie mówiąc już o stomatologu. Przed okienkiem do rejestracji incydent; nie można znaleźć karty. Sympatyczna pani twierdzi, że „pan musiał być bardzo dawno u lekarza, bo nie można jej znaleźć”. Ale „pan” (student III roku UBB) jest u party, twierdzi, że był u internisty w ubiegłym tygodniu (co ma zresztą odbicie we wpisie zwolnienia do ksią-
żeczki).

Godz. 10.00-11.00

Nic specjalnego poza zwiększającymi się kolejkami przy rejestracji i gabinetach lekarskich. Oj, przepraszam, coraz częściej dzwonią telefony, to funkcjonuje tzw. „rejestracja telefoniczna”. Zwiększa się kolejka przy okienku przemijającej blondynki, która właśnie uślisznie tłumaczy, że już nie ma miejsc. Denerwuje się, ale i denerwują się czekający przed okienkiem. Wreszcie rezygnuje. Widocznie ktoś wyżej postanowił, bo wyjmując kartę i odkłada na bok.

Godz. 12.00

Zaczynają się pierwsze narzekania przed gabinetami badań radiologicznych. — Dlaczego już się nie przyjmuje? Zapewnienia, że jutro, że w pierwszej kolejności — nie pomagają. Zawiedzeni pacjenci odchodzą. — A nie można było zamówić przez telefon? — pytam — E tam, student, i przez telefon...

Godz. 13.00

Kolejki przed gabinetami nie maleją (okulistyczny — 13 osób, internistyczny — 11, stomatologia UBB — 18). Od ginekologa wychodzi mocno podenerwowana dziewczyna.

Godz. 14.15

Niżej podpisany rozpoczyna zajęcia i, wybaczyć Czytelniku, nie może być obecny przy dalszej fotografii dnia. Przyjdzie o 19.00, gdy już będzie pusto i ci-
cho, pusto i tak... przyjemnie.

✱

Zbierając materiał do tego artykułu spotkałem się z różnymi opiniami na temat pracy Studenckiej Służby Zdrowia. Trochę szkoda, że dość dużo było uwag negatywnych. Poprosiłem o wyjaśnienie pewnych nieprawidłowości panią dyrektorkę Przychodni dr med. Teresę PIENKOWSKĄ. Problemy stawiane do wyjaśnienia wybrałem z licznych rozmów przeprowadzonych ze studentami Politechniki, Uniwersytetu, PWSSP, AR.

— *Przychodnia jako nowy obiekt budowany dla tego celu otrzymała dużą, jasną i przestronną rejestrację. Dlaczego są więc problemy z najprostszą zdawać by się mogło rzeczą jak znalezienie karty informacyjnej?*

— Wydaje mi się, że takich problemów nie ma. Mogą być jedynie kłopoty ze znalezieniem karty, ale tylko tej, która założona była przed otwarciem tego obiektu i tylko wówczas, jeżeli pacjent nie korzystał z naszych usług. Jest jeszcze jeden problem. Nie możemy znaleźć — a jest to problem nie tylko nasz — optymalnego rozwiązania zakałogowania pacjentów. Chyba, że komputery...

— *To również komputery powinny informować, gdzie znajduje się gabinet np. protetyki dentystycznej, bo niektóre panie rejestratorki absolutnie się w tych sprawach nie orientują.*

— Chyba jest to lekka przesada. To prawda, że część personelu dopiero od niedawna pracuje, ale jest to spowodowane ciągłą rotacją kadr. Kłopoty biorą się stąd, że na stanowisku rejestratorki może pracować osoba z minimum średnim wykształceniem, podczas gdy zarobki na tym stanowisku nie należą do najlepszych.

— *A przecież zarobki lekarzy nie należą do najniższych, mimo to nie wszy-*

stko jest tak jak należy. Np. sprawa ginekologa. Wiele dziewcząt z Politechniki uskarża się...

— W chwili obecnej przyjmuje czterech lekarzy ginekologów, jest więc możliwość wyboru.

— A sprawa punktualności. Wielokrotnie zdarzało się, że o godz. 8.00 nie było jeszcze lekarza, mimo iż winien przyjmować już od godziny.

— Niekiedy moi pracownicy są odwoływani do innych zajęć, mają zebrań, delegacje...

— Czyli wypada jedna osoba z pracy, zwiększają się kolejki w poczekalniach, studenci korzystając z okienek muszą w pewnych momentach wybierać, czy iść na zajęcia, czy być przyjętym np. do okulisty.

— Okulista przyjmuje zazwyczaj cztery osoby na godzinę. Można więc sobie wykalkulować kiedy się będzie przyjętym. Gabinety okulistyczne są stosunkowo przepustowe.

— Przepustowy jest również szpital, ale jak słyszałem nie znaczy to, że ma on np. szeroki asortyment leków.

— To prawda przepisy Wydziału Zdrowia dla m. Wrocławia przewidują, że nam należy się 500 zł. na jednego pacjenta mimo iż jest to kwota śmiesznie mała w wypadku schorzeń choćby sercowych.

*

A przecież, jak powiadają, teraz, w epoce stresów jest rzeczą normalną, że osoba w wieku studenckim ma komplikacje sercowe, zdarzają się zawały u 14 letnich młodzieńców, a co dopiero u nas biednych studentów narażonych na takie czy inne kaprysy np. pogody.

Nie wydaje mi się także, by można było brakiem sterylnych narzędzi tłumaczyć fakt nieprzyjęcia pacjenta do stomatologa na pół godz. przed zakończeniem pracy. Podejrzewam, że tu raczej wchodzi w grę inny czynnik, natury czysto psychologicznej: — Przyjęłam już dziś dwunastu, a u innych był luz. Proszę przyjść jutro. Pacjent nie przyszedł jutro, był załatwiony dziś u stomatologa w sąsiednich drzwiach. Przyjęła go młoda uśmiechnięta, rozumiejąca jeszcze studenta adeptka AM. Moje właśnie dlatego?

I na zakończenie wypada wyjaśnić jeszcze sprawę osób nieprzyjętych do gabinetu radiologicznego. Praca na tym stanowisku pracy jest, jak każdy zapewne wie, nienajbezpieczniejsza. Osoba obsługująca aparaturę nie może wykonać więcej niż 20 naświetleń dziennie, i słusznie, bo przecież nie można świadomie niszczyć komuś zdrowia. Ale czy nie znalazło by się i tu rozwiązanie? Czy nie wydaje się potrzebne wygospodarowanie dodatkowego etatu dla drugiego pracownika? Gra chyba jest warta świeczki.

W roku bieżącym Przychodnia zorganizowała dwa obozy rehabilitacyjne dla osób posiadających wady serca i narządów ruchu. Tylko tu można w ciągu trzech dni otrzymać opisany elektrokardiogram. Aż dziw bierze, że studenci jeszcze narzekają. Oj kapryśna ta młodzież, kapryśna...

MAREK SZEWCZYK

ASR uniarko wany optymizm

Włodzimierz
Kalicki

Do niedawna jeszcze Akademickie Studio Radiowe Politechniki dysponujące zdolnymi redaktorami, dobrym sprzętem i posiadające spory autorytet w społecznościach akademików przeżywało kryzys. Wskazywały nań zmiany personalne, postępujące zaniedbanie pomieszczeń studia i co najważniejsze, nie najlepszy poziom audycji. Kapitał zaufania zdobyty latami rzetelnej pracy był poważnie zagrożony.

Drugi oddech żakowscy radiowcy złapali tuż przed kanikulą. W czerwcu działacz ASR-u Ryszard Szkop opracował dokumentację dużego studia. W wyniku rozpoczętych w lipcu, finansowanych przez Politechnikę robót, wybudowano nowe wejście, wyposażono nową salę, zmieniono wystrój wnętrza całego obiektu. Apetyty dziennikarzy studenckich są jednak większe; planują jeszcze adaptację dwóch pomieszczeń piwnicznych akademika T-2, w którym ma powstać dodatkowe pomieszczenie studyjne i klub.

Truizmem jest podkreślenie zależności między poziomem emisji a wyposażeniem technicznym. Na tym polu radiowcy mają się czym pochwalić. Ich dumą jest stół mikerski o parametrach nie ustępujących sprzętowi profesjonalnemu. Są jeszcze dwa magnetofony stacyjne, trzy przenośne i dwa kasetowe.

Tegoroczną działalność rozpoczęło kierownictwo od kompletowania zespołu współpracowników. Audycje reklamowe, plakaty, efektowna przejażdżka wycieczkowym tramwajem zdołały przyciągnąć blisko trzydziestu kandydatów na redaktorów. Jest to w historii ASR-u rekordowy nabór. Niestety, w przeważającej większości są to osoby, które z dziennikarstwem radiowym zetknęły się pierwszy raz. Brak przygotowania warsztatowego, braki w przygotowaniu ogólnym i dużo zapału — oto cechy tej „nowej fali”. O ile jednak spore jeszcze braki techniczne są szybko nadrobiane, o tyle trudniej uzupełnić braki z zakresu wiedzy społeczno-politycznej. Szkoda, że nie nawiązano w tym celu bliższej współpracy z Wszechnicą Dziennikarską przy ZW SZSP. W jej szeregach znajdują się dziennikarze dobrze przygotowani w tej materii. Praca w studio byłaby dla nich doskonałym sprawdzianem możliwości, a ich doświadczenie i spore kwalifikacje bardzo by się przydały. A trzeba pamiętać, że forum działalności jest ogromne, obejmuje ono siedem akademików przy pl. Grunwaldzkim, zaś obecnie projektowane są połączenia z dalszymi trzema DS-ami, co w sumie da ponad 4 tys. słuchaczy.

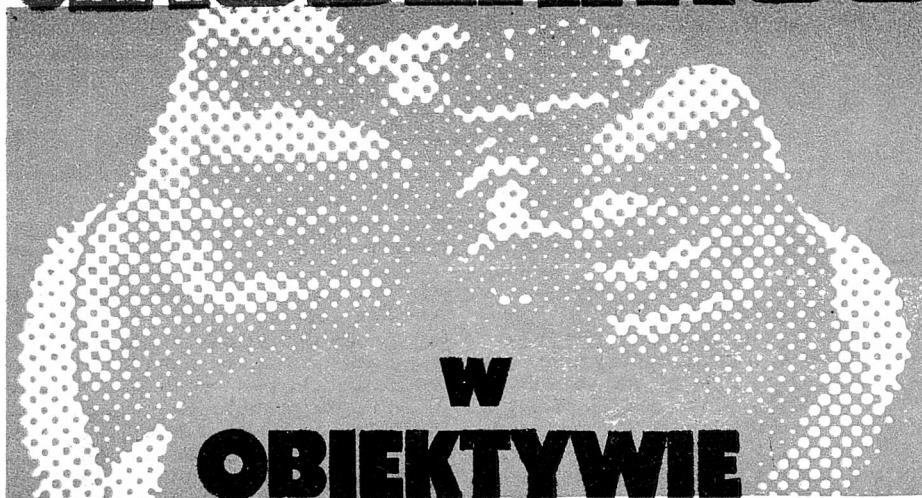
Rosnące wymagania odbiorców spowodowały konieczność wprowadzenia specjalizacji w zespole. Wyróżniono sześć redakcji. Społeczno-polityczna ma za zadanie kształcenie, postaw zaangażowania

wśród studentów oraz ukazywanie ich udziału w przemianach politycznych w kraju i na świecie. Dział informacyjny i cotygodniowy magazyn traktują o problemach środowiska. Ambitne zadanie ma do spełnienia redakcja kulturalno-oświatowa kierowana przez doświadczonego red. Stanisława Szostę. Na polu nauki ma ona propagować działalność Kół Naukowych, ukazywać dorobek naukowy pracowników Uczelni, informować o bieżących dokonaniach innych ośrodków.

Novum stanowi zespół literacki, którego specjalnością jest literatura studencka na świecie i w kraju plus debiuty twórców środowiska wrocławskiego. Redaktor naczelny Adam Kasprzyk kładzie wielki nacisk na podnoszenie poziomu programów muzycznych i rozrywkowych. Zmianie ma ulec niedobra tradycja emitowania tylko muzyki rozrywkowej; formy poważne i ambitny jazz z pewnością znajdą wielu zwolenników. Pytanie tylko, czy zostaną należycie reklamowane i poprzedzone odpowiednim komentarzem... Planuje się także współpracę z Gwalbertem Miśkiem i jego zespołem oraz założenie własnego zespołu muzycznego. Przedsięwzięciem tym patronuje osobiście red. A. Kasprzyk. Wymienione grupy występować będą pod auspicjami studia. Jako ośrodek aktywności twórczej środowiska akademickiego, ma studenckie radio ambicje nie tylko patronackie. Projektowanej inspiracji kręgów artystycznych służyć ma zorganizowanie trzech konkursów o tematyce wrocławskiej; na teksty piosenek, na muzykę do tych tekstów oraz na dowolne formy literackie nadające się do prezentacji w radio. Konkursy zorganizowane mają być przy pomocy wrocławskiego Radia, z którą to instytucją łączą ASR coraz bliższa współpraca. Wyróżniający się studenci redaktorzy są tam kierowani na praktyki, zaś wybrane audycje prezentowane będą na antenie PR.

W tym kontekście zdziwienie budzi brak kontaktu ASR-u ze studenckimi studiami radiowymi w innych miastach. Szkoda także, że w swoim czasie nie wykorzystano szansy współdziałania z SOD „publicum” i że reklama poczyniła DKF-u Politechniki datuje się dopiero od paru miesięcy. Kontakty te są niezbędne dla prawidłowej działalności akademickiego ośrodka, zwłaszcza jeśli chce on zmienić nieco swe oblicze. Liczne grono entuzjastów pracy z mikrofonem w dłoni pragnie w najbliższym czasie wypracować nowe, skuteczne formy działania, pamiętając, że ich programy będą jednym z czynników formujących intelekt i osobowość studentów. Jasne jest więc, że działalność ASR-u będzie pozostawać w centrum zainteresowań środowiska akademickiego Wrocławia.

GAUDEAMUS



Andrzeja Szymańskiego



2 października br. odbyła się w Auli Politechniki Wrocławskiej uroczysta inauguracja roku akademickiego 1974/75.

Złożyło się na nią wiele doniosłych i miłych momentów. Niektóre z nich uwiecznił nasz fotoreporter, wzbogacając swoją relację migawkami z Dni Wstępnych oraz Koncertu Grup Twórczych Politechniki.

Rada Seniorów w czasie uroczystości inauguracyjnych



Inauguracyjne przemówienie J.M. Rektora Politechniki Wrocławskiej — prof. dr Tadeusza Porębskiego



J.M. Rektor wręcza medale „Za wybitne zasługi dla Rozwoju Politechniki Wrocławskiej”



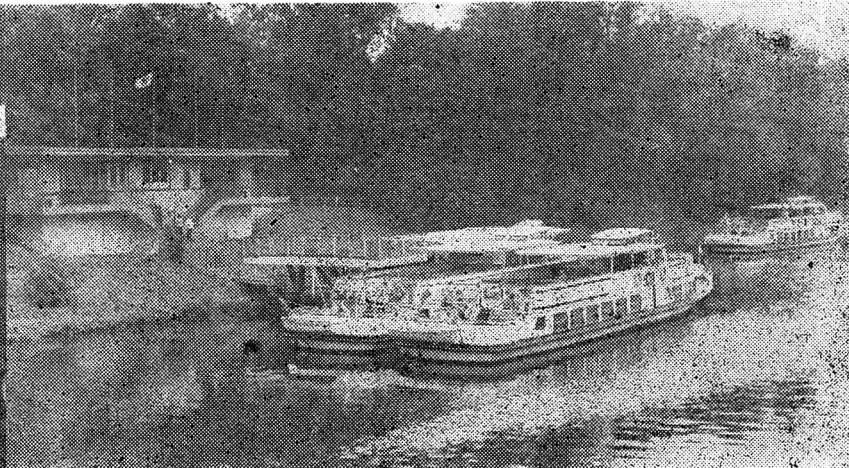
Członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — Jan Szydłak dekoruje sztandar Politechniki Wrocławskiej Orderem Sztandaru Pracy I klasy



Udany duet w czasie koncertu grup artystycznych Politechniki



Dni wstępne; Biała żegluga odrzańska czeka na studentów





Uroczystości

Dnia 2 października br. w Politechnice Wrocławskiej uroczystościem zainaugurowano nowy rok akademicki 1974/75. W inauguracji uczestniczył członek Biura Politycznego sekretarz KC PZPR — Jan SZYDLAK, członek KC, I sekretarz KWPZPR we Wrocławiu — Ludwik DROŻDŻ, wojewoda wrocławski — Zbigniew NADRATOWSKI, wiceminister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki — Tadeusz PODGÓRSKI, przewodniczący ZG SZSP — Eugeniusz MIELCAREK i wielu innych wybitnych przedstawicieli władz partyjnych, państwowych i społecznych. Kulminacyjnym punktem uroczystości było udekorowanie sztandaru Politechniki Wrocławskiej Orderem Sztandaru Pracy I Klasy, przyznanym Politechnice za jej osiągnięcia w 30-lecie PRL. Podczas inauguracji medale „Za wybitne zasługi dla rozwoju Politechniki Wrocławskiej” otrzymali: — prof. HENRYK JABŁOŃSKI (delegacja Senatu wręczy medal w Warszawie) oraz profesorowie Politechniki Wrocławskiej — Zygmunt BODNAR, Bohdan GUERQUIN, Jerzy SCHROEDER, Roman SOBOLSKI, Jan TROJAK i Zdzisław ZIOLKOWSKI.

*

Z przyjemnością komunikujemy, że w czasie uroczystości, które odbywały się w naszej Uczelni z okazji Dnia Nauczyciela, Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski udekorowani zostali: Władysław BACZ, prof. Ludwik BADIEN, prof. Zdzisław BUBNICKI, prof. Miron GAJ, prof. Józef GOLIŃSKI, prof. Jarosław JUCHNIEWICZ, prof. Władysław KACZMAR, prof. Bohdan KARABON, prof. Wacław KASPRZAK, prof. Zbigniew KOWAL, dr Zygmunt KUBACKI, prof. Józef KUBICKI, prof. Jan LANGER, prof. Adam NEGRUSZ, prof. Maria PAWLA-CZYK-SZPIŁ, prof. Tadeusz PIENIAŻEK, prof. Marian RUTKOWSKI, Józef SŁOWIK, prof. Zdzisław TERESIAK, Jakub TOMASIK.

Złotym Krzyżem Zasługi udekorowanych zostało 75 pracowników Politechniki. Tytuł Honorowy Zasłużonego Nauczyciela PRL otrzymali: prof. Andrzej FRYDECKI, prof. Bohdan GUERQUIN, prof. Andrzej JELLONEK, prof. Jerzy SCHROEDER. Ponadto 44 pracowników Uczelni otrzymało Medal XXX lecia Polski Ludowej, a 52 pracowników — Złotą Odznakę Politechniki Wrocławskiej.

Wręczono także Nagrody Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, które otrzymało 65 pracowników naszej Uczelni.

Sprawy organizacyjne

Od dnia 1 lipca br. obowiązki Pełnomocnika Rektora d/s Praktyk Studenckich pełni dr Andrzej MATUSZAK z I-24.

*

Z dniem 1 września ulegają zmianie nazwy: Instytutu Matematyki i Fizyki Teoretycznej na Instytut Matematyki oraz Instytut Fizyki Technicznej na Instytut Fizyki

*

Z dniem 1 września br. doc. Ryszard PILUJSKI został powołany na stanowisko kierownika Zakładu Dróg i Inżynierii Ruchu w Instytucie Inżynierii Ładowej.

Od dnia 3 września br. funkcję dziekana Wydziału Górniczego objął prof. Tadeusz ŻUR.

*

Z dniem 29 września br. Tadeusz IZBICKI został powołany na stanowisko zastępcy dyrektora d/s dydaktyki w Instytucie Architektury i Urbanistyki.

*

Z dniem 1 października br. funkcję p.o. zastępcy dyrektora d/s rozwoju kadry naukowej w Instytucie Górnictwa powierzono dr Stanisławowi SIEWIERSKIEMU.

*

Z dniem 1 X br. w Instytucie Inżynierii Ochrony Środowiska utworzono Zakład Techniki Uzdrawiskowej, którego kierownikiem został doc. Andrzej MADEYSKI.

*

Z dniem 1 X br. w Instytucie Nauk Społecznych zmieniono nazwę Zakładu Filozofii na Zakład Filozofii i Metodologii, którego kierownikiem mianowano dr Jana KUROWICKIEGO.

*

Z dniem 1 października br. funkcję zastępcy dyrektora d/s wydziału mechanicznego w filii Politechniki w Świdnicy powierzono dr Henrykowi MARCINIAKOWI.

*

Z dniem 1 X br. w Instytucie Podstaw Elektrotechniki i Elektrotechnologii zmieniono nazwę Zakładu Elektrotechniki Teoretycznej na Zakład Teorii Elektromagnetyzmu. Kierownikiem zakładu został dr Zygmunt BA-JORSKI.

*

Z dniem 1 października br. funkcję redaktora naczelnego wydawnictw naukowych i dydaktycznych w Instytucie Górnictwa powierzono dr Teodorowi SZTUKOWI.

Habilitacje

Centralna Komisja Kwalifikacyjna d/s Kadr Naukowych zatwierdziła stopień doktora habilitowanego nadany przez Radę Wydziału Inżynierii Sanitarnej — dr inż. Władysławowi Tomczakowi z I-13.

Bieżące zarządzenia i wytyczne

Od dnia 1 X br. wprowadzono zakaz palenia tytoniu w następujących pomieszczeniach Politechniki Wrocławskiej: salach wykładowych, innych pomieszczeniach dydaktycznych, w pomieszczeniach bibliotecznych, jadalniach, stołówkach i bufetach domów czasowych, ośrodków wypoczynkowych itp., w poczekalniach służby zdrowia, we wszystkich klubach dysponujących jednym pomieszczeniem, na wszystkich konferencjach i posiedzeniach.

Współpraca z zagranicą

W dniach 10-17 lipca br. przebywała w NRD delegacja Politechniki Wrocławskiej w składzie: prorektor prof. Wacław Kasprzak, prorektor doc. Bogusław Kędzia i doc. Jerzy Czerwonko. Podczas wizyty w TU Drezno, omówiono i uzgodniono plan współpracy obu uczelni na lata 1974-1980. We Freibergu nasza delegacja podpisała z władzami tamtejszej Akademii Górniczej ramową umowę o współpracy. Odbyło się także spotkanie naszej delegacji ze studentami Politechniki przebywającymi na praktyce w zakładach „Greika” w Greiz.

Nauczanie

W ramach dodatkowej rekrutacji na studia odbyły się egzaminy wstępne na studia dzienne i dla pracujących na wydziałach: chemicznym, mechanicznym, mechaniczno-energetycznym Politechniki Wrocławskiej. Na studia dzienne ubiegało się:

W Wydziale Chemicznym	— 500 kandydatów (50 miejsc)
„ Mech.-Energ.	— 1730 „ (80 „)
„ Mechanicz.	— 600 „ (80 „)

Na studia dla pracujących (Wydział Chemiczny i Górniczy) ubiegało się 240 kandydatów na 40 wolnych miejsc.

Do wszystkich studentów studium dziennego Politechniki Wrocławskiej

Każdy ze studentów studium dziennego naszej uczelni zobowiązany jest do ubezpieczenia się od następstw nieszczęśliwych wypadków. W związku z powyższym, w porozumieniu z Radą Uczelnianą SZSP zarządzam co następuje:

1. Celem usprawnienia akcji pobierania należności za ubezpieczenie polecam Pionowi Finansowemu patrzeć na należnej kwoty z wypłacanego studentom stypendium w listopadzie. Ustalenie powyższe ma głównie na celu zaoszczędzenie czasu studentów i pracowników.

2. Pozostali studenci studium dziennego wpłacą grupowo lub indywidualnie należność za ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków w terminie do 15 listopada 1974. Wysokość obowiązkowego ubezpieczenia wynosi 35 zł.

(—)

Notki informacyjne, które nie są sygnowane pochodzą z biuletynu „Informacje bieżące” Politechniki Wrocławskiej.

Sprawy studenckie

W tzw. „Dniach wstępnych” organizowanych przez naszą uczelnię, uczestniczyli nowo przyjęci studenci I roku. Odbyli oni liczne spotkania informacyjne z opiekunami grup i kierownictwem instytutów, w których zamierzają studiować. Zaproponowano im także urozmaicony program imprez kulturalnych, m. in. zwiedzanie miasta, rejsy po Odrze statkami, spektakl teatralny, wieczory klubowe i uroczysty koncert inauguracyjny, który odbył się w auli Politechniki Wrocławskiej 2 października o godz. 17.30.

*

Na zagraniczne praktyki specjalistyczne organizowane przez instytuty wyjechało 25 grup studenckich (180 osób). Do krajów demokracji ludowej

wyjechały 23 grupy, a do Anglii i Francji po jednej. Dla takiej samej ilości studentów zagranicznych przybyłych do Polski, instytuty zorganizowały praktyki specjalistyczne w zakładach i przedsiębiorstwach.

*

Koło Studentów Instytutu Historii Architektury, Sztuki i Techniki zorganizowało 2-miesięczną wyprawę naukową na Bliski Wschód pod kierownictwem doc. Ryszarda Jędraka i mgr Józefa Cempy z 1-1. Odbytą się pod patronatem UNESCO wyprawę 18-osobowej grupy finansowała Politechnika Wrocławska i zakłady z nią współpracujące. Samochód dla wyprawy przygotowały Jeleczańskie Zakłady Samochodowe.

*

Podaje się do wiadomości, że na wniosek Rady Uczelnianej SZSP:

1) studentom, którym udzielono upomnienia (przez Dziekana lub Rektora) w okresie do 30 czerwca 1974 upomnienie to zostaje zatarte;

2) pozostali ukarani w szkole studenci mogą ubiegać się o złagodzenie lub zatarcie kary, składając w Dziekanacie Wydziału umotywowane podania zaopiniowane przez Pełnomocnika d.s. Studenckich i Radę Instytutową SZSP. Po otrzymaniu podania Dziekanat przekaże je wraz ze swoją opinią do sekretariatu Rektora. Termin składania powyższych podań w sekretariacie wydziałów upływa z dniem 30 października 1974 r. Zaopiniowane podania powinny wpłynąć do sekretariatu Rektora w terminie do 5 listopada 1974 r.

(—)

Jesienna Szkoła Geodezji



Ostatnio coraz częściej słyszy się o inicjatywach wrocławskich geodetów

Instytut Geotechniki wraz z Kołem Zakładowym SGP zorganizował w dniach od 17 do 21 września w Sobócie „Jesienną Szkołę Geodezji”, której celem była prezentacja najnowszych osiągnięć geodezji krajowej. Uczestnicząc w „Szkołę” pracownicy naukowi Instytutu Geo-

techniki, Akademii Rolniczej oraz pracownicy przedsiębiorstw geodezyjnych wysłuchali wykładów: prof. dr inż. Stanisława Milberta z Politechniki Krakowskiej, doc. dr inż. Jerzego Chwastka oraz doc. dr inż. Bronisława Galasa z Politechniki Wrocławskiej, doc. dr hab. inż. Wojciecha Janusza oraz doc. dr hab. inż. Andrzeja Hermanowskiego z Instytutu Geodezji i Kartografii w Warszawie, doc. dr inż. Adama Langa z Akademii Rolniczej we Wrocławiu, oraz szeregu referatów.

Doceniając korzyści płynące z tego rodzaju spotkań uczestnicy podkreślili potrzebę dalszego organizowania „Szkół”, spodziewając się, że wpłyną one na ożywienie działalności wrocławskiego środowiska geodetów oraz ułatwią wymianę doświadczeń.

(mar)

Seminaria i imprezy

W dniach od 15 do 24 listopada br. Politechnika Wrocławska organizuje tradycyjne już Dni Nauki i Kultury Technicznego Uniwersytetu w Dreźnie. Uroczyste otwarcie Dni wraz z koncertem galowym z udziałem studenckich grup artystycznych obu Uczelni odbędzie się dn. 15 XII o godz. 15.00 w auli Politechniki. W dniu 16 XI będą miały miejsce spotkania młodzieży w klubach studenckich, a przez cały czas w gmachu głównym czynna będzie wystawa dorobku naukowego TU Drezno w XXV-lecie NRD. Prócz tego naukowcy z Drezna wygłoszą 10 referatów naukowych, prezentujących osiągnięcia swej Uczelni.

(—)

*

W dniach 5-7 września w Lewinie Kłodzkim odbyło się seminarium dyrektorów instytutów i dziekanów wydziałów, na którym wysłuchano informacji o nowym systemie finansowania i nowym regulaminie studiów, dyskutowano koncepcję programu studium specjalnościowego i kształcenia kadry w nowym modelu Szkoły, plan pracy Politechniki na rok 1974/75, zasady opracowania wieloletniego planu rozwoju Szkoły. Omawiano także sprawy reali-

zacji wniosków z ubiegłorocznego seminarium oraz bieżące dezyderaty wysunięte pod adresem kierownictwa Uczelni. Instytut Organizacji i Zarządzania przedstawił wyniki sondażu ankietowego „Cele, trudności i motywacje działalności naukowej w opinii pracowników Politechniki Wrocławskiej”. Poruszono także sprawy związane z wydawnictwami: „Organizacja instytutu”, „Organizacja wydziału”.

(mar)

*

W dniach 2-7 października Zakład Automatyki i Modelowania ICT kierowany przez doc. dr Ludwika Żebrowskiego, prezentował wystawę prac dyplomowych, które zostały wykonane przez absolwentów Zakładu w ciągu ostatnich dwóch lat. Celem tej niezwykle pożytecznej ekspozycji było:

- zapoznanie grona zainteresowanych z działalnością Zakładu w dziedzinie prac dyplomowych,
- stworzenie pewnego modelu porównawczego dla przyszłych dyplomantów,
- wcześniejsze zapoznanie studentów z modelami, z których większość jest wykorzystywana w ćwiczeniach laboratoryjnych.

Przez tę atrakcyjną, także pod względem wizualnym, wystawę przewinęło się kilkuset zwiedzających. Odwiedzili ją między innymi świeżo upieczeni studenci w czasie Dni Wstępnych. Najwięcej zainteresowania wzbudzały: elektroniczny miernik parametrów przekładników, model do strefowej regulacji temperatury pieca tunelowego i układ do badania silników skokowych.

Wszystkie przedstawione prace miały charakter konstrukcyjny, wykonane zostały wg najnowocześniejszych rozwiązań na elementach scalonych i stanowiły unikalne, nie produkowane seryjnie przez przemysł urządzenia.

Owocem wystawy były kontakty nawiązane z wieloma pracownikami naukowymi Politechniki spoza Instytutu Cybernetyki Technicznej, którzy przedstawili konkretne propozycje zakupu i wykorzystania wielu prezentowanych urządzeń. M. in. jeden z modeli znajdzie zastosowanie w systemie „WASC”.

mk

Wrocław — miastem moich studiów, to temat konkursu zorganizowanego przez Towarzystwo Miłośników Wrocławia i ZW SZSP, w którym nasi studenci odbywający praktykę robotniczą zajęli IV miejsce.

Ekspedycja pletwonurków sekcji *Pirania* pod wodzą mgr inż. B. Mazurka z I-7 przebywała w spłynie nad Zatoką Perską. W skład 12 osobowej ekipy weszli ponadto z Politechniki: mgr inż. R. Zaluk, mgr inż. J. Dobosz, mgr inż. J. Wańkowicz, J. Iwanowski oraz A. Januszewski.

Kolejny, już dziesiąty rajd zorganizował ITE. Tegoroczna X Tera rozegrała się w okolicy Błotni, a w programie atrakcje nie lada: 1,5 godzinny nocny „spacer po górach”, przejazd kolejką linową i... kolorowe baloniki wręczone na Klimczoku.

Informatory do dzieła — pod takim hasłem w dniach 19-20 X odbyło się seminarium RU SZSP w Szklarskiej Porębie. Ten sam instytut (I-23) 17 i 18 października zorganizował w gmachu głównym Wielką Giełdę Podręczników i Notatek.

Klub *Fosik* jako pierwszy rozpoczął swoją działalność w nowym roku akademickim. Dosłownie pękał w szwach. Drużynie w kolejności ruszyły *Wikliny*.

Azymucik

W dniach 12-13 października 1974 r. odbyła się, awizowana uprzednio w „Sigmie”, impreza turystyczna pod nazwą AZYMUCIK 74, którego trasy przebiegały malowniczymi, zwłaszcza w tej porze roku, Górami Kaczawskimi. Azymucik zorganizowany został przez Koło Turystyczne Politechniki Akademickiego Klubu Turystycznego. Organizator (KTP) oczekiwał udziału co najmniej czterech osobowych drużyn ze wszystkich instytutów uczelnianych. Do wzięcia udziału zaproszono także drużyny zawsze pokrzywdzonych w imprezach uczelnianych Filii. Tymczasem z przewidzianej ilości drużyn na starcie zgłosiło się zaledwie dziewięć drużyn instytutowych, jedna filialna z Kłodzka i dwie „niezrzeszone”.

Zgłoszone drużyny ze względu na wczesną porę wyjazdu, stały się w niepełnym składzie. Reszta uczestników dojechała na trasy pociągami warszawskimi. Rozmowy bilateralne przeprowadzone przez organizatorów i służbę konduktorską zapewniły grupie rajdowej 75% zniżkę. W trakcie przejazdu zapoznano uczestników w sposób dokładny z regulaminem, wręczono azymutowe opisy tras i koperty awaryjne. Koperty te zawierały opis miejsca punktu kontrolnego i noclegu oraz możliwości dojścia do nich i były otwierane przez drużynę w przypadku zgubienia się lub zbyt późnej pory (po zmierzchu), kiedy chodzenie na azymut nie było już możliwe. Ponadto uczestnikom rozdano kompasy wypożyczone od wojska i materiały antyalkoholowe: plakaty, broszury i ulotki, które to materiały drużyny miały rozkolportować w miejscowościach położonych na trasie swego marszu. Kampania propagandowa zaczęła się już w pociągu. Na trasy AZYMUCIKA, drużyny wychodziły z sześciu miejscowości: Janowa Wlk., Trześcińska, Wojanowa, Kaczorowa, Wojcieszowa, Sędziszowej. Drużyny pełne wiary w otrzymane opisy tras i nadziei doskonałą się powoli w posługiwaniu się kompasem, kierując się ponadto wszelkimi znakami na niebie i na ziemi, bowiem przejście wymagało ogólnej orientacji w terenie i rozeznania we florze (klon koło buka) oraz faunie oj-

W dniach 19-26 października odbyły się Dni Kanalarza. W programie udany 8 *Mikrocziplik*, otrzęsiny, Bal Kanalarza i... Wielki Dzień Sportu.

Wszystkich zainteresowanych informujemy, że od 1 lipca br. obowiązki Pełnomocnika d/s Praktyk objął inż. Andrzej Matuszak z I-24.

Na dwutygodniowe obozy wypoczynkowe Almaturu wyjechało 300 naszych studentów. Natomiast na praktyki w KDL organizowane przez Instytut Uczeńiane wyjechało 180 studentów.

Koło Studentów Instytutu Historii Architektury, Sztuki i Techniki zorganizowało dwumiesięczną wyprawę na Bliski wschód. Wyprawie przewodzili doc. R. Jędrak i mgr J. Campy, patronowała UNESCO, finansowała Politechnika Wrocławska i zakłady współpracujące z Uczelnią, a 18-osobową grupę przewoził samochód używany przez JZS w Jelczu.

W RU SZSP nastąpiły zmiany na stanowiskach przewodniczących Komisji: przewodniczącym Komisji Kultury został Stanisław Lochyński (I-24, r. IV), Komisji Propagandy i Informacji — Andrzej Ringwelski (I-9, r. IV), Komisji Nauki — Jerzy Składzień (I-13 ME r. IV).

(EMES)

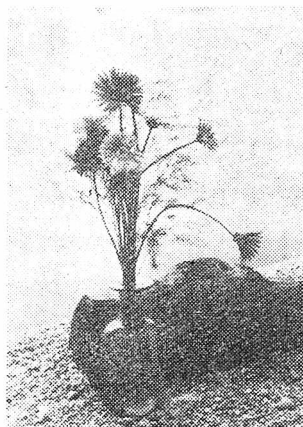
czystej (uwaga byki), podążały na punkt kontrolny. Punktem kontrolnym, przez który winny przejść wszystkie drużyny był przystanek PKS Kapela, powyżej przełęczy Widok. Na punkcie kontroli oczekiwał uczestników od godz. 13.00 kolega Darek odnotowując przyście drużyn na punkt. Już pierwsza część trasy wykazała nierówne obdzielenie szczęściem i różnicę w umiejętnościach poszczególnych drużyn, bowiem w punkcie kontroli pojawiały się one (lub nie pojawiały) począwszy od godz. 13.00 do godz. 18.30 — (już w godzinę po jego zwinieciu). Po krótkim popasie, drużyny tratując pola i ugory, borykając się z ogrodzeniami z drutów kolczastych, spożywając napotkane dary ziemi jak: kapusta, brukiew, burak cukrowy itp. kierowały się na miejsce noclegu. Tam, po krótkim odpoczynku, koleżanki i koledzy z Kola, korzystając z prowiantu zakupionego przez organizatora oraz doniesionego przez uczestników, przygotowali wspólną kolację dla sześćdziesięciu osób.

Program wieczoru wypełnił konkurs turystyczny, który udo- wodził jak mierne wiadomości posiadają uczestnicy konkursu, organizatorzy i tzw. publika: słowem, nie ma mocnych. Następnie zaprezentowano przeżycia z życia klubowego KTP AKT (komentował kolega Prezes), a w trakcie pokazu serwowano wafelki made in KTP i napoje bezalkoholowe rodem z Indii (Madras). Do późnych godzin nocnych w sali balowej chętni zdzierali gardła improwizując, każdy na swoją nutę, standardy turystyczne typu „Tratwa blues”, „Na kolejnym szlaku”, po czym udano się na zasłużony spoczynek.

Następnego dnia po śniadaniu nastąpił wymarsz uczestników w kierunku okolicznego wzgórza Wapiennik. Tam koło południa rozegrano marsz na orientację w terenie. Na trasie znajdowało się siedem punktów kontrolnych, na których należało wykonać określone zadania. Organizator punktował ich wykonanie, a dodatkowo — udział dziewcząt w każdej z drużyn uczestniczących w marszu. Solidnie zmęczonych uczestników marszu oczekiwał na mecie punkt żywnościowy, w którym otrzymywali przydziałową porcję kiełbasy oraz ziemniaki i kukurydę do przyrządzenia na gorąco. Pomiędzy godz. 14.00-15.00 drużyny opuszczały Wapiennik i podążały różnymi drogami w kierunku Jeleniej Góry. Zakończenie imprezy i podsumowanie nastąpiło na kolejnych zebraniach Kola Turystycznego Politechniki AKT, na których wręczono wszystkim uczestnikom okolicznościowe proporzyczki oraz nagrody rzeczowe dla wyróżniających się, ufundowane przez Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy m. Wrocławia.

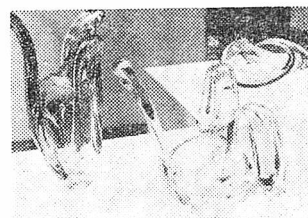
Impreza została uznana za udaną ze względu na formę, atmosferę wśród uczestników, dopracowaną organizację oraz bardzo dobrą pogodę towarzyszącą AZYMUCIKOWI przez obydwa dni.

KPT AKT



W Gmachu Głównym Politechniki Wrocławskiej czynna była w październiku ciesząca się ogromnym powodzeniem wystawa kwiatów i szkła dekoracyjnego

Zdj. A. SZYMANSKI



Wyciąg z regulaminu Klubu Oficerów Rezerwy

Zgodnie ze statutem Ligi Obrony Kraju — Klub Oficerów Rezerwy Ligi Obrony Kraju — zwany dalej KOR LOK — zrzesza oficerów, chorążych i podchorążych rezerwy oraz zwolnionych od obowiązku służby wojskowej Wojska Polskiego, zgłaszających chęć do pracy społecznej w zakresie realizacji zadań społeczno-obronnych.

Przy Klubach Oficerów Rezerwy mogą być powołane sekcje podoficerów (byłych zawodowych i nadterminowych) rezerwy oraz zwolnionych od obowiązku służby wojskowej Wojska Polskiego.

Klub jest podstawową jednostką organizacyjną Ligi i prowadzi swą działalność zgodnie ze statutem Ligi oraz niniejszym regulaminem.

Sekcja podoficerska przy KOR jest organiczną częścią składową, a członkowie sekcji są pełnoprawnymi członkami klubu.

I. ZADANIA KOR

§ 1

Podstawowym zadaniem klubu jest organizowanie środowiska oficerów i podoficerów rezerwy dla działalności na rzecz rozwijania i umacniania społecznych form ludowej obronności. Zadania te klub realizuje poprzez:

a) prowadzenie działalności społeczno-wychowawczej wśród członków klubu, mającej na celu pogłębienie ich obywatelskiej odpowiedzialności za rozwój i obronność kraju,

b) udział w pracy społeczno-wychowawczej prowadzonej wśród miejscowego społeczeństwa na rzecz ludowej obronności, zwłaszcza przez:

— popularyzowanie idei ludowej obronności, postępowych tradycji oręża polskiego oraz braterstwa broni z Armią Radziecką i armią państw zaprzyjaźnionych,

— propagowanie celów, zadań i osiągnięć LOK,

— inspirowanie i organizowanie w swoich środowiskach prac społecznie użytecznych na rzecz gospodarki i obronności,

c) działalność na rzecz systemu OT oraz społecznych organizacji obronnych poprzez:

— aktywny udział w pracach organizacyjno-szkoleniowych i instruktorskich w formacjach samoobrony oraz w środowiskach młodzieżowych (np. OHP) prowadzących szkolenie wojskowe,

— udział w pracach organizacyjno-szkoleniowych w lokalnych komitetach obrony (LKO),

— aktywny udział w powszechnym szkoleniu obronnym ludności i prowadzeniu działalności informacyjno-propagandowej w zakresie problematyki obronnej oraz przygotowaniu obronnym młodzieży,

— udział w pracach ogniw terenowych LOK.

d) utrzymywanie i doskonalenie kwalifikacji wojskowych swych członków poprzez szkolenie programowe, udział w ćwiczeniach i pokazach wojskowych, studiowanie literatury wojskowej i samokształcenie,

e) rozwijanie współpracy i umacnianie więzów koleżeńskich pomiędzy kadrą zawodową i rezerwy poprzez udział we wspólnych imprezach o charakterze politycznym, szkoleniowym, sportowym i towarzyskim,

f) utrzymywanie za pośrednictwem zarządu LOK ścisłego współdziałania;

— z właściwym terytorialnie sztabem wojskowym i jednostką wojskową, zwłaszcza w zakresie uzupełniania wiedzy politycznej i wojskowej swych członków oraz w celu ściślejszego powiązania działalności KOR z zadaniami systemu OT.

— z właściwym terytorialnie Kołem Wiedzy Wojskowej (KWW) w zakresie szkolenia prowadzonego w klubie oraz rozwijania działalności społeczno-obronnej, klubowej i sportów obronnych, g) udzielanie pomocy organizacyjnej w doszkalanu wojskowym podoficerów rezerwy WP, skupionych w zespołach instruktorów-podoficerów, istniejących przy zarządach gromadzkich osiedlowych i zakładowych Ligi,

h) utrzymywanie kontaktów między sąsiednimi względnie pokrewnymi klubami w celu wymiany doświadczeń na polu organizacyjno-szkoleniowym,

i) organizowanie życia kulturalno-oświatowego, sportowego i towarzyskiego,

j) organizowanie dla członków klubu, znajdujących się w trudnych warunkach życiowych, różnych form pomocy ze strony właściwych władz administracyjnych i wojskowych oraz samopomocy koleżeńskiej,

k) podejmowanie innych zadań z zakresu działalności LOK, wynikających z miejscowych potrzeb i zainteresowań członków.

§ 2

W całokształcie swej działalności klub poprzez właściwy Zarząd LOK współpracuje z odpowiednimi dla danego terenu sztabami i jednostkami wojskowymi, organizacjami społecznymi (zwłaszcza ZBoWiD) i młodzieżowymi oraz organizacjami naukowymi i sportowymi.

(—)

nasi najlepsi



Jurek GROBELNY studiuje informatykę i zarządzanie, a konkretnie: systemy zarządzania. Żaden z minionych czterech semestrów nie zakończył się bez nagrody rektorskiej. No i nic dziwnego — średnia semestralna wyniosła 4,21, zaś najwyższa — 4,52. Ale nie samą

nauką Jurek żyje. Od pierwszego roku działał w organizacjach uczelnianych. Zdażył już być szefem koła ZMS, przewodniczącym grupy działania SZSP, a obecnie piastuje funkcję przewodniczącego komisji kultury rady instytutowej. Jego hobby, traktowanym bardzo poważnie, jest muzyka. Gra na gitarze, komponuje do tekstów poetyckich, zwłaszcza Gałczyńskiego i Baczyńskiego. Sporo czasu poświęca na próby Studenckiej Eksperymentalnej Grupy Artystycznej, której jest współtwórcą. Często bywa w Filharmonii, szczególnie upodobał sobie koncerty kameralne.

EUL



Leszek Smoliński jest studentem III roku Wydz. Budownictwa Lądowego. Specjalność — budownictwo przemysłowe. Dotychczasowa średnia 4,5. Nie jest to jedyne osiągnięcie naukowe Leszka. Do tego dorzucić trzeba I miejsce w Konkursie Kopernikowskim w swoim Instytucie (I-10) i trzy wyróżnienia Rektora: za pracę społeczną, postawę obywatelską, i za Konkurs. W nagrodę za zwycięstwo w tym Konkursie pojechał do Włoch.

Leszek nie stroni od pracy społecznej. Zaczął jako vice-szef Rady Instytutowej I-10, a obecnie awansował na szefa. W wolnych chwilach zajmuje się dziennikarstwem studenckim, pracuje w radiu „Fosa”.

Jak powiedział, na rozwijanie zainteresowań prywatnych zostaje mu bardzo niewiele czasu. A pochwalić się może różnorodnością tzw. hobby. Jak mówi, przepada za dziewczynami, po-

Fot. J. BORTKIEWICZ



za tym lubi literaturę (zwłaszcza poezję), matematykę, muzykę poważną. W wolnych chwilach trochę rysuje i zbiera maskotki, których ma spory zbiór.

HaWa

JUBI- LAT zastu- żony



Pan Jakub TOMASIK wraz z Małżonką w gronie seniorów na symbolicznej lampce wina zorganizowanej przez Instytut po oficjalnej części uroczystości.

Przy okazji składamy najserdeczniejsze życzenia Obojgu Małżonkom w związku z obchodzonymi niedawno Złotymi Godami.

W czasie odbywających się uroczystości z okazji Dnia Nauczyciela, w Instytucie Chemii Nieorganicznej i Pierwiastków Rzadkich ze szczególnym wzruszeniem gratulowano długoletniemu pracownikowi Instytutu — panu Jakubowi TOMASIKOWI.

Pan Tomasik, niezwykle ceniony mechanik precyzyjny, ma za sobą już 64 lata pracy zawodowej, z czego 27 lat poświęcił Politechnice Wrocławskiej. Mimo sędziwego wieku i przejścia na emeryturę, jest nadal aktywnym, pełnym energii pracownikiem, chętnie dzieli się bogatym doświadczeniem i służy radą. W uznaniu zasług dla Politechniki Wrocławskiej otrzymał Medal X lecia, Złoty Krzyż Zasługi, Złotą Odznakę Politechniki, a na tegorocznych uroczystościach (12 X) odznaczony został Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski. Wszyscy gratulowali Mu serdecznie, a od Rady Oddziałowej ZNP otrzymał w upominku piękny kryształowy puchar z okolicznościowym napisem.

(MAR)

DZIEKANKA

lewa na studentów, traktując ich wszystkich jak całą swoją rodzinę. Chciałbym podkreślić, że pracuje dla swoich podopiecznych nie zważając na godziny urzędowania, pracuje po południu, czasem w domu, wykonując swoją pracę bardzo wnikliwie. Sprawdza każdą sprawę. Pracuje już od 14 roku życia, początkowo jako robotnica w fabryce, jako salowa w czasie wojny, a od 1944 jako woźna w Politechnice Lwowskiej. Z naszą uczelnią związana jest od 1946 roku. Pracę rozpoczęła początkowo jako woźna, a od 1951 roku została referentem do spraw bytowych w dziekanacie chemii i funkcję tę pełni do dzisiaj.

A jak ją widzą studenci?

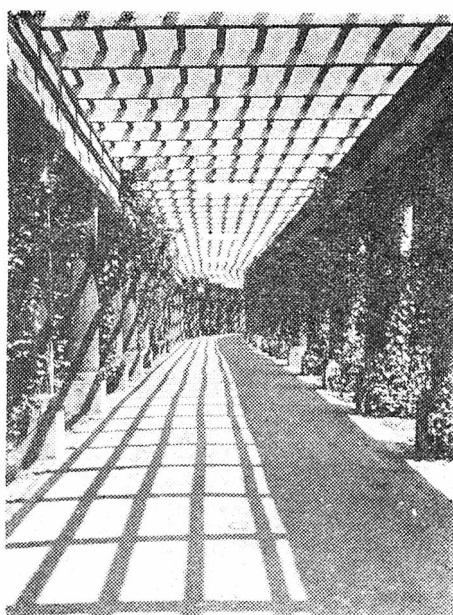
Mówi Halina Lis — absolwentka Wydziału Chemicznego: z Panią Marią zetknęłam się po raz pierwszy w okresie egzaminów wstępnych. Początkowo budziła grozę swoim dość ostrym sposobem bycia, ale wkrótce okazało się, że to tylko pozory, o czym miałam okazję przekonać się w czasie całego okresu studiów. Radziła mi zawsze we wszystkich kłopotach dotyczących stypendium, akademika, obiadów. Robiła to w sposób niezwykle ciepły, matczyzny i tak traktowała wszystkich studentów. Ci, którzy nie umieli docenić jej rad i nie wywiązywali się w porę ze swoich zobowiązań, traktowani byli z całą surowością. Zawsze umiała znaleźć słowa otuchy w najcięższych dla nas chwilach: „a co tam, dziecko, nie martw się, jakoś to będzie” Mimo swojego wieku — zawsze młoda duchem i przyjacielska! Po pięciu latach odchodzę z Uczelni z dyplomem i przeświadczeniem, że wśród wielu ludzi, którzy tu kształtowali mój charakter, znalazła się Ona — człowiek którego zapamiętam.

Mówi student III roku: Gdy po raz pierwszy przekroczyłem próg dziekanatu, nie wiedziałem do kogo mam się zwrócić. Po chwili wahania byłem pewien, że najważniejszą osobą jest p. Maria, do niej się też zwróciłem. Teraz najczęściej kroki swe kieruję w stronę p. Marii. Kojarzą mi się z nią moje kłopoty finansowe, a te mamy często. Poszedłem kiedyś do dziekanatu, zwróciłem się do p. Marii i mówię, że już koniec, że nie mam pieniędzy i żarcia

od 24 godzin. Spojrzała na mnie i zmartwiona chyba bardziej ode mnie, mówi „Co ja ci teraz kochanie poradzę, trzeba było przyjść wcześniej”. Po chwili dodaje widząc mą niewesołą minę „Pisz dziecko o zapomogę, a na razie pożycz od kolegów”. Pani Maria witała mnie zawsze groźnym wzrokiem, a po chwili, gdy już przy niej stałem pytała zupełnie nie pasującym do wyrazu twarzy głosem z nutką pretensji i wyrozumiałości: „I co znowu dziecko?”. Słuchała uważnie. Później krótko przedstawiała możliwości załatwienia tej czy innej sprawy. Charakterystyczne były u niej przejścia ze zwrotu „pan” na „dziecko”, „kochanie”, „synku”. Robiła to bardzo umiejętnie, toteż nigdy nie czulem się skrzepowany tymi zwrotami. Z biegiem czasu zauważyłem, że można do niej mówić bez obawy, że przerwie wypowiedź w połowie. Świadczy to o jej dużym doświadczeniu. Obecność pani Marii czyni nasz sekretariat nieco cieplejszym i miłszym, a my studenci to lubimy.

S.

Fot. J. BACHRIJ



Wszyscy odwiedzający Dziekanat Wydziału Chemicznego znają doskonale panią MARIĘ KOBYLECKĄ — przyjaciela i opiekuna studentów.

Mówi prodziekan Wydziału Chemicznego doc. dr Zalewski: W moich oczach pani Maria Kobylecka stanowi wzór pracownika. Nie ma własnych dzieci, więc całe swoje matczyne uczucia prze-

od Bim-Bomu do awangardy

Włodzimierz Garsztka



Historia studenckiego ruchu teatralnego w Polsce rozpoczyna się w roku 1954. Dziś z perspektywy dwudziestu lat coraz trudniej zdobyć się na obiektywną, niezdeteminowaną współczesnymi orientacjami ocenę tego prekursorskiego okresu inwencji teatralnej środowiska akademickiego o zupełnie nowym kierunku ciążenia i co dopiero odkrytych możliwościach oddziaływania na zastygłą w schematach i banałach rzeczywistość lat pięćdziesiątych. Polski teatr studencki powstał na gruncie istic nieateatralnym, w warunkach stagnacji dziejowej z niechęcią ustępującej pierwszym przejawom nowego światopoglądu, nowych potrzeb i coraz śmielszych żądań. Jego idea zrodziła się wraz z nastaniem odwilży dziejowej, jednak działalność w obrębie form, jakie okres prekursorski zrodził, trwała znacznie dłużej niż czas określony granicami lat dla polskiego życia politycznego i kulturalnego przełomowych. Wróćmy jednak do roku 1954. W listopadzie tego właśnie roku w Gdańsku wśród kilkunastotysięcznej rzeszy studenckiej zrodził się teatr *Bim-Bom*. Teatr Metafory i Inscenizacji. W *Bim-Bomie* nauczono się myśleć obrazem scenicznym, realizować zwarte treściowo i formalnie spektakle, podczas gdy w polskim teatrze studenckim tego okresu panuje niepodzielnie skecz i składanka, piosenka i humoreska. W *Bim-Bomie* nie stanowiło problemu jak zainscenizować dany tekst, ale jak zagrać sceniczną pewną myśl, jaką ten tekst wnosi. Osia, wokół której grupowały się wszystkie problemy poruszane przez teatr był człowiek, dodajmy — człowiek współczesny. Wszystkie środki teatralne były dla twórców *Bim-Bomu* sposobem, co najwyżej dostarczały możliwości dla zobrazowania motywu wiódącego, właśnie człowieka *Bim-Bomowi* współczesnego. I był to człowiek autentyczny, obdarzony wszystkimi dolegliwościami epoki, szamoczący się w korbach obowiązków i powinności nie zawsze uzasadnionych, człowiek z narzuconym mu bezmyślnie obrazem świata, gdzie zazwyczaj nie starczało już miejsca na marzenie. Mawiano wtedy o *Bim-Bomie*, że marzenie jest motorem jego działania.

Rok 1954 dał początek wielu grupom twórczym, *Bim-Bom* nie był wówczas teatrem jedynym, ale wśród całej tamtej plejady zajmuje miejsce wyjątkowe. Stworzył styl tkwiący korzeniami w zapędach budującego się w kraju nowego życia. Już w 1955 roku teatr ten głosił potrzebę wzniesienia w środowisku

akademickim radości życia. Postulowana radość życia była hasłem, zza którego wyzierała inna, udokumentowana w niedługim czasie jakość — twórcza siła ludzi młodych. W jednym z wczesnych manifestów *Bim-Bomu* czytamy: **Młódzież ma oczywiste powody ku tworzeniu karnawałów radości. Należy jej przekazać prawo do wesela. Walczymy gorąco o sprawy zwykłych, szarych ludzi, którzy chcą się cieszyć, bawić, odpoczywać.** Niezwykle interesujący z dzisiejszego punktu widzenia jest artystyczny rodowód *Bim-Bomu*. Teatr ten wyrastał z podobnego gruntu, co niektóre neorealistyczne filmy włoskie, czy też z tematów niektórych przypowieści Lamoris's'a. Twórcy *Bim-Bomu* wywodzili się z klubów filmowych, za swój artystyczny kierunkowskaz przyjęli humanizm Chaplina, kultywowali wiarę, że humor może być wyższym wykładnikiem tragizmu. *Bim-Bom* był teatrem malarzy i architektów, nie obcy był mu surrealizm. Kiedyś zastanawiano się jak można by określić pokolenie *Bim-Bomu*. Z wielu nazw, najbardziej chyba oddaje istotę tej generacji teatralnej słowo: socromantyzm. Socromantycy jako ci, którzy przeciwstawili się socrealizmowi i pokonali go w teatrze uczestniczyli w ogólnym szturmie po nowe. Po latach, Jerzy Afanasjew wspominając okres *Bim-Bomu* powie: **Bim-Bom był dla wielu z nas jednocześnie tym, co nazwać by można bądź szkołą teatralną, bądź też wieloletnim studium aktorskim. Wykładowcami sztuki aktorskiej tej szkoły byli Zbigniew Cybulski i Bogumił Kobiela... Czerpaliliśmy od siebie wzajemnie, a praca nasza przeplatała się z momentami czynionej na gorąco improwizacji.**

I tutaj wyłania się następna niezaprzeczalna wartość *Bim-Bomu*. Teatr ten nie poprzestał na okrzykach i agitacji, znaczny, a może nawet główny ciężar pracy położył na zdobywanie i doskonalenie umiejętności, niezbędnego warsztatu, bez którego żaden teatr, jakim by nie był, obejść się nie może. Jakże to będzie trudne do zrozumienia dla teatru studenckiego po roku 1960, okresie nieuctwa i partactwa, kiedy to modne było przekonanie, że aktor w teatrze studenckim w zasadzie niczego umieć nie musi, bo przecież jest to teatr różny od profesjonalnego teatru umiejętności, że tutaj wystarczy pokrzyzczeć i powydziwiać na sposób, jakiego jeszcze nie było, aby zrobić przedstawienie w pełni studenckie. Mówi się, że styl *Bim-Bomu* był prosty, że metody artystyczne jakimi się posługiwał były proste. Mówi się tak obecnie, w okre-

sie teatru pod każdym względem konceptualistycznego, teatru wydumanego, beznadziejnie zagmatwanego w poawangardowe dziwactwa i wielką próżność napuszonej wypowiedzi, teatru jałowego, zakażonego ślepotą i głuchotą. To prawda, styl *Bim-Bomu* był prosty, ale tej prostoty jego twórcy musieli się nauczyć, właśnie nauczyć, bo nie ma nic trudniejszego niż prostota.

Taki był *Bim-Bom*, a inni? W roku 1954 w Warszawie powstał STS, wówczas nazywający się Studenckim Zespołem Satyrycznym. Bezlitośnie rozprawił się z okresem minionym i nagłym przemianowaniem się dawnych przywódców socrealistycznego kursu w kulturze i polityce na zagorzałych piewców nowych prądów. W pierwszym okresie STS oburzał się nie tyle na nagłe bogactwo nowinek obyczajowych i ideologicznych, ile na bezmyślny automatyzm ich przyjmowania, na cwaniactwo i fałszywą gorliwość, z jaką dokonywano nagłych zmian we wszystkich gałęziach życia. Od samego początku STS uchwycił się polityki o wiele mocniej, niż jakiegokolwiek innej gałęzi życia. W sferze artystycznej dał prym literaturze, zabiegi formalne sprowadzał do minimum, z czasem stał się ostentacyjnie politykujący. Na początku to wystarczało, potem teatr dający prym treści napotkał na podstawowe dla przyjętej przez siebie formy obrazowania trudności. Czas wypełniania wszystkiego, co na scenie, myślami i emocjami przybranymi w ledwie dostrzegalną szatę plastyki aktorskiej i teatralnej minął bezpowrotnie. Praw domagała się teraz szeroko pojmowana teatralna ekspresja. STS próbował przejść obok narastającej z dnia na dzień nowej tendencji w studenckim ruchu teatralnym. To się nie mogło udać. Programowo polityczny STS musiał ustąpić miejsca nowym formom.

Teatrami satyry były także łódzkie zespoły *Cytryna* i *Pstrąg*, których podstawową formą artystyczną była składanka satyryczna. Szczególnie eksponowana była piosenka. Później *Pstrąg* spróbował także pantomimy. W 1957 roku pojawił się w Krakowie teatr, który wyszedł daleko poza formy teatralne dla okresu prekursorskiego zasadnicze, zapowiadał on kierunek artystyczny który pojawi się w teatrze po roku 1969. Mowa tutaj o *Teatrze 38*. Kierowany przez Waldemara Krygiera wyrósł na gruncie protestu przeciwko teatrowi profesjonalnemu. Nowe widzenie, nowa plastyka przedstawienia, barwa słowa, kolor, ruch, mimika, ekspresja kształtu, to zupełnie nowe jakości formalne dla teatru studenckiego. *Teatr 38* był bez wątpienia eksperymentalnym. Wtedy eksperyment był zabiegiem kształcącym, terenem, na którym można było sprawdzić amatorskie marzenia o wielkim teatrze. Założenia były ambitne; oczyścić teatr z belkotu, odmłodzić go, nauczyć się posługiwać środkami wyrazu, tak aby były one czytelne, plastycznie sterylne. Grano Beckett, Geneta, Ionesco, Kafkę, Vaillanda, ale także Dantego, Potockiego. W jednym ze swoich przedstawień twórcy *Teatru 38* powiedzą poprzez jedną z postaci przedstawienia: **Pytacie, jaki typ teatru odpowiada nam najbardziej? Odpowiem pokrótce i marzycielsko; interesuje mnie teatr problemu, teatr humanistyczny, artystyczny, nie skrepowany prymitywną użytkowością. Teatr śmiały...**

Teatr 38 nie był już teatrem środowiskowym, jego zainteresowania podejmowane z pasją poznawania i ciągłego

rozszerzenia horyzontów artystycznych pozwoliły mu w okresie „małej stabilizacji” prowadzić ożywioną działalność twórczą. Krygier zerwał z potocznie pojmowaną studenckością i coraz wyraźniej zmierzał ku teatrowi artystycznemu, ku takiej formie scenicznej, gdzie zaangażowanie i subtelność formy nie kłóca się ze sobą, ale tworzą dla teatru zupełnie nową strukturę widowiska jednocześnie plastycznego i jednocześnie będącego śmiałą wypowiedzią ideową, zza której wylania się już pozateatralna jakość, ludzka.

Około roku 1960 kończy się pierwszy okres w historii polskiego teatru studenckiego. Minęła era, kiedy w studenckich teatrach królowała satyra, zmieniły się czasy. Wtargnęło nowe pokolenie, które przyniosło z sobą nowe zainteresowania, nowe problemy, nowe propozycje teatralne. Ale kiedy przyszło do konkretnej pracy teatralnej, z zamiarów i chęci niewiele na scenie pozostało. Nastąpił dziewięcioletni okres epigonów i bezradnych reformatorów polskiego teatru studenckiego. Zaczynają masowo pojawiać się teatry dramatyczne, a przede wszystkim teatry poezji. Ogólna wspólnota tych teatrów była łatwo zauważalna, opierały one swe realizacje na adaptacjach utworów literackich, lub gotowych sztukach dramatycznych. Teatr studencki zaczął robić to, co scena zawodowa i chociaż tamta była już wyjałowiona ze wszystkiego, co ma związek z dobrym teatrem, twórcy akademicy robili to jeszcze gorzej. Oczywiście były wyjątki. *Hybrydy*, stojące pod znakiem kompromisu pomiędzy kabaretem zawodowym a dobrokiem ruchu studenckiego z lat poprzednich, należały na pewno do ciekawszych manifestacji artystycznych po roku 1960, zaś jedynym znacznym, można rzec, sztandarowym osiągnięciem teatru studenckiego w tym okresie są „Szewcy” *Kalambura*. I na tym koniec. Punktem zwrotnym będzie dopiero rok 1967, rok pierwszego Wrocławskiego Festiwalu Teatrów Młodych. Wtedy właśnie na tle zespołów zachodnich z kręgu awangardy lat sześćdziesiątych, zdano sobie sprawę, że rodzime poczynania ze współczesną dramaturgią są w gruncie rzeczy oseskowate i niewydarzone. Zrozumiano po raz pierwszy od siedmiu lat, że droga do światowego teatru nie tkwi w adaptacjach współczesnej literatury, nawet tej najbardziej awangardowej. Trzeba było odnaleźć nowy punkt wyjścia. Okres przymierzania się i prób trwał trzy lata, potem polski teatr studencki złapał drugi oddech, a w roku 1971 we Wrocławiu wykorzystał szansę zaprezentowania teatralnemu światu swego dorobku. Przypomnijmy najwybitniejsze spektakle: „Spadanie” i „Sennik polski” *Teatru STU*, „Wprowadzenie do...” *Teatru Ósmego Dnia*, „Koło czy tryptyk” *Teatru 77*, „W rytmie słońca” *Kalambura*. I te późniejsze, poawangardowe, w znacznym stopniu już wtórne wobec pierwszych osiągnięć: „Pasja” i „Pasja 2” *Teatru 77*, „Jednym tchem” *Teatru Ósmego Dnia*. W tym wyliczaniu nie można pominąć *Gestu* i *Teatru Pleonazmus*. Zwłaszcza ten ostatni prezentuje niezwykle interesujący typ widowiska poetyckiego z silnie rozbudowaną akcją teatralną.

Rok 1973 zamknął okres awangardy w polskim teatrze studenckim, ucichło na scenach, niedawni reformatorzy znowu pograżyli się w wszech ogarniającym teatrze marazmie i bezsile.

RZECZY O SCHODACH CIĄG DALSZY

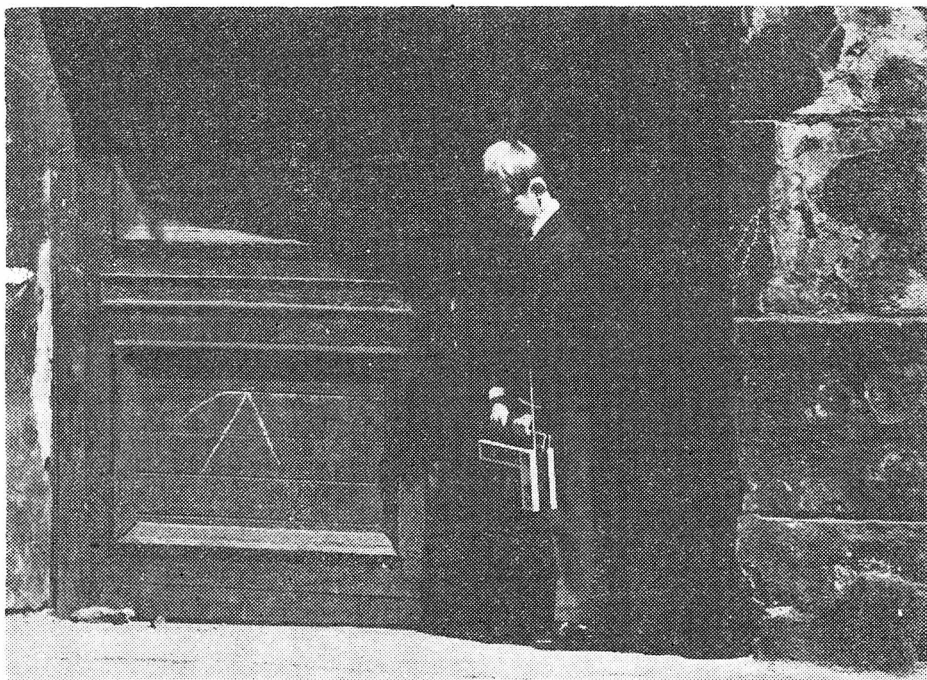
Wykładowca wspiał się na podium. Kartki, z których miał za chwilę przeczytać wykład położył na katedrze, włożył okulary, poprawił spodnie i spojrział na audytorium. Studenci siedzieli coraz wyżej jedni za drugimi, coraz wyżej, wyżej... Na ostatnich profesor patrzył znad okularów. Wyższość siedzenia nie oznaczała żadnej innej wyższości prócz tej chyba, że siedzący wyżej widzieli z góry tych z dołu, o czym nie mogli powiedzieć siedzący niżej o tych z góry, a zainteresowanie malało ze wzrostem ilości stopni. Na końcu leżały płaszcze, a pod nimi studenci, których zainteresowanie wykładem dążyło do zera, tzn. wznosiło się coraz wyżej, gdzieś daleko, daleko w przestrzeni — zasypiali. Profesor stał najniżej, co sugerowało, że wykładem zainteresowany był najbardziej. Możliwe! Schodkowość audytorium jest tak pomyślana, że siadającym studentom pozwala już samym miejscem na zajęcie danej postawy wobec wykładu, a zarazem jest żywym wykresem zainteresowania. Poza tym daje wykładowcy orientację z wykładu na wykład o zainteresowaniu poszczególnymi wykładami, i to właśnie decyduje o wyższości audytorów schodkowych nad płaskimi, a także jest następnym dowodem na uniwersalność zastosowania schodów w życiu. Gdyby powyższe kryteria oceny zastosować do sal wykładowych płaskich, okazałoby się, że mali, krótkowidze i lekko głusi, którzy zasiadali by w pierwszych rzędach dla lepszego odbioru, uchodziliby za solidniejszych, co byłoby krzywdzące dla wysokich, dalekowidzów i „głošników” (dobrze słyszających), zajmujących miejsca z tyłu, których można wziąć przez pomyłkę za ignorantów, malkontentów, dyletantów, nierobów, cichych dyskutantów (dysku-

tuja po cichu) lub studentów. Ale tak nie można. Przy ocenie audytorium na salach płaskich należy brać pod uwagę ich wrodzoną, inaczej wbudowaną przypadłość i nieprzystosowanie do prowadzenia wykładów. Ten szczególny wykład miał to do siebie, że chodził na niego cały rok, bez wyjątków; gromadnie wszyscy walili w ciszy i spokoju. Zajmowali miejsca, rzędy, które piętrzyły się jedne nad drugimi. Pierwsze rzędy czekały już w gotowości na pierwsze słowa wykładowcy. Dzień dobry — powiedział. Pióra zafalowały, i potem drgały już nad zeszytami niezmordowanie notując wszystko, co się dało. Każde słowo wykładowcy odciskało się w zeszytach. Nic nie uszło uwadze notujących, czy profesor chciał, czy nie. Przepisywali zapamiętane z tablicy każdy szczegół; niektórzy w ferworze, nie zważając na koniec tablicy, przepisywali „Prosimy nie palić”, inni zapisywali każde słowo, ruch, wzdychnięcie, chrząknięcie. Teraz nierozróżnianie tego co ważne i nieważne nie odgrywało roli. Podniecenie, zaabsorbowanie przechodziło w zapamiętanie; ludzie zamieniali się w jedno wielkie pióro zakończone uchem. Profesor czuł jak pierwsze rzędy płoną, spalają się i jak wyższe coraz bardziej toną w chłodnym bezruchu, zamyśleniu, a na samej górze — zasypiają. Żeby pierwszych ostudzić, drugich obudzić — odłożył kartki z wykładem i sprawdził obecność, na co czekali i jedni i drudzy z równym zniecierpliwieniem.

Ponieważ do końca wykładu zostało niewiele czasu, toteż i wykładowca i studenci zgodnie opuścili salę, mając na uwadze inny wykład, dymiały obiadek, chłodne piwo lub inne obowiązki.

JERZY WCISŁO

Fot. J. BORTKIEWICZ



KOMU POTRZEBNY JEST KONCEPTU ALIZM =?

Lech Isakiewicz

Trzy strony tego podwórza zamykały skurczone, odrapane kamienice i wielka szopa, czwartą zaś dopełniał mur z czerwonej cegły stykający się z tarasem sąsiedniego domu, na którym pies foxterier z miną oglupiałą ze zdziwienia przyglądał się widowisku jakie rozgrywało się na kocich łbach.

Na kocich łbach tymczasem „odchodzili” kukielki. *Babcia i wnuczek czyli noc cudów* — Galczyńskiego w wykonaniu studentów Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej z Wrocławia, przyciągnęły na noworódzkie podwórze tłumy — przede wszystkim dzieci. Reagowały na spektakl spontanicznie nagradzając śmiechem i oklaskami każdą udaną scenę. Pies przyglądał się zdziwiony coraz bardziej Okna od podwórza wypełniły się widzami, z których dorośli nie mniej rozradowani niż dzieci uczestniczyli w zabawie z nie mniejszą spontanicznością. Nie było to bowiem zwykłe „odegranie” przedstawienia, a zabawa — z muzyką z katarynki, tańcami i korowodem. Gdy poprzebiebierani w karnawałowe stroje aktorzy wciągnęli do kółeczka i panią, której widać życie nie oszczędzało i pana, który wyglądał na takiego co zazwyczaj siedzi na kanapie i ma za złe i gdy wszyscy — dzieci, dorośli i aktorzy wymieszali się w jeden rozradowany tłum, nad którym górowało piskliwe szczekanie ogłupiałego już do końca psa, zrozumiałem, że jest to najlepsze „działanie” jakie oglądała noworódzka publiczność w czasie festiwalu.

Trzeci Festiwal Studentów Szkół Artystycznych, który odbywał się w Nowej Rudzie w dniach 19 do 23 czerwca br. nie zachwycił bowiem najwyższym poziomem artystycznym prezentowanych „działań”. Prócz owego „podwórkowego” spektaklu zaproponowanego przez wrocławskich studentów — lalkarzy, na dobrą sprawę nie było nic naprawdę godnego uwagi. W kategorii teatralnej dominowały zespoły prezentujące poziom szkolny, nie wykraczające poza akademickie rygory. Trudno się jednak temu dziwić zważywszy, że nie są to zespoły studenckie w potocznym

rozumieniu tego słowa, gdzie aktorzy poszukują nowych rozwiązań, lub gdzie teatr jest dopełnieniem ich działalności zawodowej czy uczelnianej. Poza wrocławskim, na wyróżnienie zasłużył zespół łódzkiej Szkoły Teatralnej i Filmowej, prezentujący *Zwierzęta hrabiego Cagliostro* Andrzeja Bursy. Inscenizacja tego przedstawienia zadziwiła mogła pewną oryginalnością ram, w które ów spektakl został wtłoczony, z samym jednak „dramatem” nie mających nic wspólnego, ale na tym koniec. Tak jak i pozostałe zespoły, łódzki zespół „odgrywał” swoją sztukę jakby to było kolokwium zaliczeniowe, a nie próba znalezienia jakiejś nowej formuły artystycznej, do czego przecież przyjazd na tego rodzaju imprezę powinien obligować.

Teatr, określający siebie w najbardziej nawet akademicki sposób, był jednak na noworódzkim festiwalu terenem działania wysoce wysublimowanym w porównaniu z tym co wyczyniali plastycy. Mimo że pod szyldem awangardy, prezentowali oni „działania” tak prymitywne, że niejednokrotnie nie tylko ze sztuką, ale w ogóle ze zdrowym rozsądkiem nie miały one nic wspólnego. Cały festiwal stał bowiem pod znakiem konceptualizmu. Konceptualizm wciskał się wszędzie. Do muzyki, do filmu, do programów festiwalowych i biuletynów informacyjnych biura prasowego. Konceptualizm wisiał (jakże żałośnie zresztą) na ulicach Nowej Rudy i w placówkach kulturalnych. Oprócz konceptualizmu w plastyce nie działało się prawie nic. Najżałośniej ów biedny konceptualizm prezentował się w czasie dyskusji odbywających się co dzień w tzw. Centrum Teoretycznym. Wyglądało to mniej więcej tak. W pomieszczeniu (znakomicie architektonicznie rozwiązanym, co w zderzeniu z dyskusją o konceptualizmie już było dysonansem) noworódzkiego klubu NOT-u rozsiadło się wygodnie grono „wtajemniczonych”, którzy poświecili sobie reflektorami i dysponowali mikrofonami. Wokół wtajemniczonych, już mniej wygodnie i tak jakby pokorniej, rozsiedli się „chlōnni, ale do końca nie wtajemniczeni”, którzy patrzyli z nabożeństwem na wtajemniczonych i od czasu do czasu im basowali. Z tyłu za tymi dwoma kręgami, siedzieli zupełnie niewygodnie, albo wręcz stali „opozycjoniści”, którzy odmiennością zdania wcale nie wystawiali sobie świadectwa najlepszego, gdyż poziom dyskusji był i tak bardzo niski.

Dyskutowano zaś o wszystkim i o niczym. O tym, że w sztuce współczesnej brak jakichkolwiek kryteriów i o tym, że kryteria określające sztukę ograniczają jej rozwój. O inspiracjach filozofią „zen” i o miłości, zieleni i sercu górnika, który widzi swoje odbicie w prezentowanych „działaniach”. Gdyby jeszcze chodziło tylko o dyskusję, to pal sześć: plastycy nigdy nie byli dobrymi mówcami i zawsze broniły ich realizacje programów uświadomionych bądź nieświadomych. Realizacje te jednak unaocznily, że współczesna sztuka plastyczna, ta dominująca w artystycznych uczelniach znalazła się w stanie ostrego kryzysu. Brak kryteriów (jednak!) oraz ślepe przetransportowanie wzorców zachodnich przy jednoczesnym nieświadomieniu sobie kontekstu społeczno-politycznego w jakim sztuka konceptualna powstała i rozwija się w RFN czy Wielkiej Brytanii, spowodowały, że to co prezentują obecnie studenci szkół artystycznych na wszelkiego rodzaju plenerach czy festiwalach

już nawet nie śmieszy, a napawa nie-smakiem. Bardzo napuszone, a pustkę skrywające manifesty, „hecne” happeningi i szczeniacka, nie wiadomo przeciw komu kierowana, kontestacja, to na dobrą sprawę jedyny plon noworódzkiego festiwalu.

Już w czasie poprzednich festiwalu dyskutowano zawzięcie, jakie korzyści może przynieść noworódzkiemu społeczeństwu tego rodzaju impreza. Pisał o tym i niżej podpisany w jednym z artykułów STUDENTA przy okazji penetracji środowiska młodej inteligencji Nowej Rudy. W wielu artykułach podkreślano — bardzo słusznie zresztą — że jest to impreza potrzebna i pożyteczna, w czasie której dokonuje się spolaryzowanie postaw, nawiązywanie kontaktów, zapoznanie, bądź **spróbowanie** zapoznania „powiatowej” społeczności z najbardziej awangardowymi kierunkami sztuki. Wszystko to racja, tylko z czym owa „powiatowa społeczność” ma się zapoznawać. Przypomina mi się w tym momencie zdanie wygłoszone przez noworódzkiego piekarza, a przytoczone w jednym z numerów notatnika festiwalowego wydawanego z dużym poświęceniem przez biuro prasowe festiwalu: *A bo to czas ma człowiek oglądać. Raz tylko przyszedł do piekarni taki jeden z brodą i z winem. Mówił, że mu Zyzio i z piekarzem jeszcze nie pił.*

Z pewnością nie wszystkie propozycje przedstawione przez biorących w festiwalu udział studentów były niedobre. Było wiele rzetelnej roboty choćby w dziedzinie muzyki (mam tu na myśli przede wszystkim wykonawstwo), był ciekawie zainscenizowany przez studentów drugiego roku PWST z Warszawy *Ślub Gombrowicza* — spektakl, w którym aktorzy usiłowali znaleźć u autora *Ferdydurke* coś więcej niż pretekst do solowych popisów, było kilka ciekawych wystaw malarskich, był także pokaz etud filmowych przyszłych reżyserów i operatorów, z których kilka było naprawdę wysmienitych, wszystko to jednak mogło być na dobrą sprawę zaprezentowane przy każdej innej okazji: w czasie Festiwalu Kulturalnego Studentów, w czasie świnoujskiej FAMy czy augustowskiego obozu „aktywu kulturalnego”. To zaś, co zostało w pamięci uczestników nie opętanych „konceptualizmem” oraz — podejrzewam — w pamięci mieszkańców Nowej Rudy, na pewno najlepszego świadectwa, ani współczesnej sztuce, ani organizatorom, a raczej kryteriom ich doboru nie wystawiło.

F r a s z k i

ATEISTA

W dobrej wierze
w nic nie wierzę.

*

To będzie na marginesie,
co na niego się naniesie.

*

Albośmy to jacy tacy,
abyśmy byli jednacy?

*

Dla świętego spokoju
staczą bój po boju.

LEKTURY



saga rodu Buendia

Powieść „Sto lat samotności” G.G. Marqueza *) spełnia wszelkie warunki, które pozwoliłyby nazwać ją sagą rodzinną, bowiem jest to stuletnia historia powstania, rozwoju i upadku rodziny Buendia. Jednakże jej odmiennosć od typowych sag rodzinnych, takich jak: „Rodzina Thibault”, „Saga rodu Forsytów” jest niezaprzeczalna. Co różni powieść „Sto lat samotności” od klasycznych już sag rodzinnych? Co zadecydowało o niezwyklej poczytności tej książki?

W ujęciu R. Martin du Gard i J. Galsworthy’ego temat sagi rodzinnej wymagał prawdopodobieństwa życiowego, natomiast Marquez rezygnuje z konwencji realistycznej. „Sto lat samotności” to książka, która stary temat obleka w nową formę. Saga Marqueza jest utrzymana w konwencji kreacjonistycznej, gdzie rzeczywistość współistnieje z wizjami nadrealnymi. Dzięki temu książka zyskuje zupełnie nowy walor, jej treść jest pogłębiona, wieloznaczna, jest traktatem filozoficznym na temat losu indywidualnego i losu zbiorowości ludzkiej, jest wykładem socjologicznym obejmującym początkowo proste (wspólnota rodowa), a później złożone (feudalizm, kapitalizm) stosunki społeczne widziane poprzez pryzmat świadomości mitycznej. Punktem wyjścia rozważań Marqueza jest mit mający różne kombinacje fabularne, pojawiający się w różnych językach narodowych, ale zawierający samą wartość etyczną, mit głoszący zakaz współżycia seksualnego pomiędzy blisko spokrewnionymi osobami. Jakie skutki wynikają z przekroczenia tego zakazu dowiadujemy się na przykładzie dziejów rodziny Buendia.

Rzecz Marqueza jest mityczną kroniką ukazującą dzieje osadników osiedlonych w Macondo. Nie są to osadnicy walczący z tubylczą ludnością. Zajmują teren dziewiczy, nieznanymi ludziami. Zaczynają nowe życie od niczego, później dzięki różnym przeciekom ze świata zewnętrznego doskonalą swoją egzystencję, wzbogacając się, ale ich świadomość pozostaje pierwotna; mają głębokie poczucie wolności osobistej i pewność siebie, łączą fantazję z odwagą. Z

Macondo wywodzi się słynny pułkownik Aureliano Buendia, który w walce z konserwatystami podbija cały kraj, staje się wodzem o nieograniczonej władzy. Choć jego rządy trwają krótko, sława o nim będzie przechodzić z pokolenia na pokolenie mieszkańców Macondo. Macondo to zbiorowość ludzi niezwykle, których pełne osobowości mogły się ukształtować dzięki separacji od świata zewnętrznego. Nawet zmiany społeczne, jakie tam zachodziły nie zmieniały świadomości ludzi, działali się jakby obok mieszkańców Macondo, którzy ponad wszystko cenią wolność osobistą pojętą totalnie i chyba dlatego nie mieścili się w świecie społecznym. Zostali przez autora skazani na zagładę.

Książka Marqueza jest olbrzymich rozmiarów przypowieścią, w której prawdy ogólnoludzkie nakładają się na kuriozalne przypadki indywidualne, tworząc barwną panoramę wypadków i postaci. Co prawda, świat powieściowy Marqueza jest zdeformowany i zmierza ku grotesce, ale jest to chyba obecnie jedna z ciekawszych dróg literatury.

Bohaterowie „Stu lat samotności” bywają „normalni” lub są dziwakami. Ci ostatni są przez pisarza faworyzowani, wzbudzają sympatię, choć pewne cechy ich osobowości doprowadzone są do absurdu. Oto niepomamowany głód wiedzy Jośe Arcadio Buendia, który pograżając się w eksperymentach traci kontakt z rzeczywistością, a jego wiedza nabiera charakteru metafizycznego, niezrozumiałego dla ludzi. Oto piękna

Remedis, której uroda niesie śmierć zamiast miłości, i która w końcu wlaśnie nad Macondo i znika w przestworzach, bowiem autor prawdopodobnie wyczerpał wszelkie możliwości związane z jej funkcją w utworze. Oto dzielny pułkownik Aureliano Buendia, którego losy pisarz przewrotnie gmatwa: wielkość i upadek byłyby tragiczne, gdybyśmy nie znali przyczyny jego politycznego zaangażowania.

Dużo wdzięku dodaje powieści Marquezowi niezwykle poczucie humoru. Humor ten bywa żywiołowy lub wyrafinowany. Często w wyniku groteskowego potraktowania sytuacji pojawia się komizm. Takich okoliczności może dostarczyć życie rodzinne Aureliana Drugiego, który poślubiwszy Fernandę, zdobywczyńnię pierwszego miejsca w konkursie piękności, nie zadawała się nią i znajduje sobie nałożnicę Petrę Costes, dzięki której właściwościom zwierzęta rozmnażały się w nieprawdopodobnym tempie, co przysporzyło bogactw Aurelianowi Drugiemu, a równocześnie było przyczyną wielu absurdalnych sytuacji o zabarwieniu komicznym.

Wypadki przedstawione w powieści Marqueza nie są ułożone chronologicznie, opowiedziane jak kronika stylem prostym, pozbawione są ozdobników. Marquez jest twórcą przykładającym wagę do nowych pomysłów formalnych i dzięki nim osiągnął oryginalność i świeżość na zużyty już temat.

KRYSZYNA HENZEL

*) Gabriel Garcia Marquez: Sto lat samotności, Warszawa 1974, s. 402

Fot. K. LUKASIEWICZ



nie wierzę W PANORAMĘ POWIEŚCIOWĄ

— Zawsze po ukazaniu się kolejnej książki niektórzy Pana znajomi obrażali się sugerując, że ich Pan „falszywie opisał”. Jakie były reakcje prototypów po ukazaniu się „Pana z prowincji”? Niektórzy czytelnicy wrocławscy identyfikują postacie powieściowe z prototypami dosyć jednoznacznie. Sam słyszałem jak pewnego prozaika wrocławskiego określano nazwiskiem z Pana powieści...

— Reakcje prototypów były zupełnie inne po ukazaniu się „Zaklętych rewirów”, inne po ukazaniu się „Parafian”, a jeszcze inne ostatnio po pojawieniu się „Pana z prowincji”. W „Zaklętych rewirach” postacie są jakby zupełnie sfotografowane, tylko nieco skarykaturowane. Tam wszyscy się bardzo łatwo poznawali i stąd oczywiście wielkie pretensje do mnie. Zresztą wtedy ja jako młody człowiek nie zastanawiałem się po prostu nad tym, czy komuś zrobić krzywdę takim „fotografowaniem”, w żywiołowy sposób pisałem. Inaczej ta sprawa wygląda w „Parafianach”. Tam było takie charakterystyczne zjawisko. Oto np. prototyp Zahoreczuka miał do mnie pretensje, mówił: „Ty żeś mnie fałszywie przedstawił”. Pewnie, że fałszywie! Bo ja wziąłem właściwie tylko tło, jego gospodarstwo, może jego sposób mówienia, ale wkładałem mu w usta takie słowa, których on nigdy nie wypowiedział, albo stawiałem go w takiej sytuacji, że niby wypadł z siekierą tam skądś na zabawie, na której on nie był właściwie. Więc on poniekąd ma rację, że go „falszywie” przedstawiłem. Z początku był bardzo urażony, ale potem jak go spotykałem, ostatnio w Ciepłowodach na kiermaszu książek, zawsze serdecznie się witał. Ludzie, których niby „falszywie opisałem” powoli zaczynają rozumieć, że to po prostu licentia poetica: pisarz musi deformować rzeczywistość, nie może fotografować jej. Inne pierwowzory chyba nie czytały moich książek, np. nasz sąsiad w Trzbiezowicach, który mocno się na mnie obraził. Ktoś mu powiedział, że go porównałem do „wędzonego dorsza”, ale gdyby całe opowiadanie przeczytał („Nie gorsza od innych”), gdyby dostrzegł sympatyczne rysy, które tam podkreśliłem, na pewno by inaczej reagował. I takich ludzi było więcej. W „Parafianach” rzeczywistość jest bar-

dziej zdeformowana, postacie nie są już „fotografowane”. Natomiast co się tyczy „Pana z prowincji” rzecz w tym, że nikt nie chce się przyznać do tych postaci, czy to będzie Pozorski, Kurniawa, Pozytroński, Hała czy ktoś inny, po prostu udają, że to nie oni są. A wiem, że mają do mnie uraz. I to ciekawe, wszędzie są Pozorscy, ale żaden Pozorski z Katowic czy z Warszawy nie ma do mnie żadnego urazu. Bo wiadomo, że to chodzi o środowisko wrocławskie, można się domyślać o kogo chodzi.

— W „Panu z prowincji” narrator-bohater oprócz relacji o swoich przygodach wypowiada również wiele sądów o współczesnej cywilizacji miejskiej, o ludziach techniki. Dlaczego on tak nie lubi inżynierów, technokratów (a dodajmy: w języku potocznym słowo to ma odcień ironiczny)?

— To wypłynęło stąd, że tytułowy „pan” rzeczywiście jest z prowincji, a ponieważ wpadł w centrum wielkiego miasta i widzi tu pewne rzeczy, których stały mieszkańiec miasta już nie dostrzega, bo po prostu mu się opatrzyły. Nie tylko był zdziwiony, ale pewnymi zjawiskami przerażony, stąd też niechęć jego do cywilizacji wielkomiejskiej, pośrednio odbiło się to na jego niechęci do inżynierów w ogóle, do tych budowniczych cywilizacji materialnej. A poza tym on jest jakby metafizykiem, nie ma co mówić, on broni tej drugiej strony. Tam przecież w „Panu z prowincji” są rozdziały, które są zupełnie fikcyjne np. w „Monopolu” (ogólne mruganie), to jest scena wymyślona, ale ona jest autentyczna w tym sensie, że dopasowana do pewnej rzeczywistości w Polsce. Bo my za dużo mrugamy, prawda, do siebie... Krytycy na ogół lekko tylko dotykają w omówieniach tej problematyki, albo kwitują jakimś dowcipem. Np. jeden z recenzentów napisał na zakończenie: „No to cyk!” Są to typowe uniki ze strony panów krytyków. Podobnie ważna jest problematyka końcowych rozdziałów. Po cóż ja pisałem o tym rozdwojeniu Worcella? Bo narrator w końcu odzęguje się od tego Worcella złego. Tu jest jakieś rozdwojenie manicheistyczne tej osobowości. Jakoś żaden z recenzentów tej sprawy

HENRYK WORCELL (właśc. Tadeusz Kurtyka — ur. 1909) debiutował w 1936 r. „powieścią z życia kelnerów” pt. „Zaklęte rewiry”. Później opublikował powieści: „Odwet” (fragm. w prasie — 1947-48), „Wyspa starej Tekli” (1956), „Pan z prowincji” (1973) oraz tomy opowiadań: „Zdarzenia w mroku” (1939), „Zimowy zasiew” (1955), „Widzę stąd Sudety” (1959), „Parafianie” (1960, wyd. 3: 1972), „Najtrudniejszy język świata” (1965, wyd. 2: 1973), „Wieczory pod lipą” (1968), „Grzech Antoniego Grudy” (1972). W l. 1925-1936 Worcell pracował w Krakowie jako kelner, w l. 1945-1949 prowadził gospodarstwo rolne w Skrzynce k. Łądką Zdroju; od grudnia 1957 r. — mieszkaniec Wrocławia. Laureat nagród: m. Wrocławia (1957), miesięcznika „Odra” (1965) i Ministra Kultury i Sztuki II stopnia (1967). W październiku br. Ossolineum wydało tom „wspomnień zakopiańskich” pt. „Wpisani w Giewont”; w 1975 r. ukaże się w Ossolineum wybór reportaży i wypowiedzi pt. „Nocą kiedy przychodzi świnia”.

O prozie H. Worcella ukazał się w październiku br. monograficzny szkic krytycznoliteracki Jerzego Fluty pt. „Okruchy epoki” (Ossolineum).



nie poruszył, bo to może kwestia niemodna, nie wiem...

Oczywiście ta niechęć mojego bohatera też mnie zastanawia. To jest pewna przesada, nie ulega wątpliwości, przesada narratora. Bo ja osobiście nie wyobrażam sobie jak można by cofnąć się, czy też zrezygnować z rozwoju technicznego kraju. Ale jak to u pisarzy: pewne rzeczy ujmuje się krańcowo, bo inaczej, gdyby się ich nie zaakcentowało, nikt by tego nie zauważył. Krańcowość zmusza do myślenia, albo do sprzeciwu. Skoro jest jakiś sprzeciw u czytelnika, to już dobrze.

— Niektórzy czytelnicy, nie tylko ci tzw. naiwni, nazbyt pochopnie utożsamiają wypowiedzi narratora i postaci powieściowych ze stanowiskiem autora. Prowadzi to często do zabawnych, choć przykrych zapewne dla pisarza nieporozumień...

— Oczywiście. Powiem szczerze, że do pewnego czasu czułem pogardę właściwie do rozwoju cywilizacji technicznej, ale od kilku lat wskutek spotkań z ludźmi techniki, z naukowcami, zauważyłem, że oni mają jakąś mentalność jak gdyby nową zupełnie, oni posze-

rzając zdolności matematyczno-techniczne przeobrażają się też w humanistów. To jest jakiś nieodczyny proces. Np. obserwowałem w sterowni, w tarnowskich „Azotach”, dwóch Japończyków i naszych młodych inżynierów: jaka to wielka odpowiedzialność — sterowanie całą olbrzymią fabryką. Miałem później okazję porozmawiać z nimi po pracy, to stanowczo stwierdzam, że u nich rodzi się jakiś nowy humanizm. W Kołobrzegu np. ostatnio spotkałem się z architektem, on znów wyrażał żal, że my pisarze, w ogóle humaniści, nie doceniamy ich wielkiego wysiłku umysłowego, który właśnie może sprzyjać przerośnięciu się „myślenia technologicznego” w jakiś nowy humanizm. Bo nie wyobrażam sobie, żeby tak bez końca ludzie się zacieśniali, tylko zawężali do spraw często materialnych. Inżynier musi również być humanistą. Tak np. jak ci wielcy uczeni — Einstein, Bohr, Wiener, Heisenberg — którzy jednocześnie byli i wspólnymi naukowcami, i filozofami, myślicielami.

— Nie wspomniał Pan, że najstarszy syn jest inżynierem elektronikiem, absolwentem Politechniki Wrocławskiej.

— Byłem nawet bardzo zadowolony, że wybrał studia techniczne. Powiem żartobliwie, że miałem dawniej kompleksy, jeśli chodzi o matematykę, myślałem, że to rodzinna słabość, a tu widzę, że nie święci garnki lepią, bo syn jest pierwszorzędny matematykiem i elektronikiem. Teraz ostatnio zaniedbuje „karię” naukowca, bo jako alpinista został włączony do grupy, która będzie zdobywać w Himalajach Lhoce.

— Wróćmy jeszcze do problematyki „Pana z prowincji”. Narrator i niektóre postacie zarzucają współczesnym pisarzom polskim tzw. minimalizm twórczy: ot, poeci, zwłaszcza tzw. młodzi, piszą wierszyki, prozaicy zaś — mikropowieści, boją się ryzyka artystycznego i ideowego etc. A jakie jest Pana zdanie o poetach?

— Wtedy, kiedy pisałem „Pana z prowincji” inaczej widziałem pewnie sprawę, teraz też inaczej. Przecież mamy wybitnych poetów! Tak hurmem krytykować, to właściwie znowu jakaś krańcowość. Może mam o tyle rację, że jest tak dużo poetów, a poeta tak trudno być, dlatego, że tak łatwo, można by powiedzieć. I zauważyłem coś takiego: jakby ucieczkę od pewnych problemów „w poezję”. Jak nie w „lingwistykę”, to liryzm jakiś: ptaszki, drzewo, woda itd. Dlatego pozwoliłem sobie na taki krytyczny osąd, właściwie nie ja, a postacie powieściowe. Gdybym teraz pisał „Pana z prowincji”, wprowadziłbym dyskusję zupełnie inną, bo musiałbym wspomnieć np. o Białoszewskim, Krynickim, Herbercie, Różewiczu i wielu innych znakomych poetach.

— W „Panu z prowincji” postacie wypowiadają się negatywnie o mikropowieściach. A czy wierzy Pan w powieść-syntezę, powieść przedstawiającą panoramiczny obraz polskiej współczesności?

— Nie wierzę w taką panoramę powieściową. Żyjemy w innych czasach, nie tak ustabilizowanych jak dawniej, gdy np. Dąbrowska pisała „Noce i dnie”. Zarówno gwałtowny rozwój techniki,

jak i zmiany polityczne, które na świecie ciągle się odbywają — rzutują przecież na światopogląd. Pisarz jest właściwie zdezorientowany. Stąd się mnożą te mikropowieści; pisarz obiera problem, bo tylko taki mały może ogarnąć, daje odpowiednie tło, nastrój, zamyka to albo w mikropowieści, albo w opowiadaniu. Ja też nie mogłem sobie pozwolić w „Parafianach” i „Najtrudniejszym języku świata” na szeroką panoramę życia wiejskiego w latach czterdziestych na ziemiach zachodnich: pisałem opowiadania.

— A teraz pytanie „rocznicowe”: jakie polskie utwory prozatorskie wydane po r. 1944 uważa Pan za najambitniejsze poznawczo i artystycznie, po prostu — najwybitniejsze?

— Zaraz po wojnie jedna książka Andrzejewskiego mnie zachwyciła — „Popiół i diament”. Wyrażała problematykę bardzo istotną, nie tylko zresztą dla Polski, ale chyba dla naszego w ogóle obozu. Następnie Konwickiego „Sennik współczesny”, Buczkowskiego „Czarny potok” niesamowita rzecz, bo późniejsze jego książki są już bardzo trudne, Żukrowskiego „Kamienne tablice”, Putramenta „Böldyn”. Nie jestem krytykiem, wymieniam te utwory, które teraz sobie przypominam. Co mnie zastanawia, to brak w literaturze powojennej bezpośrednich wypowiedzi poruszających problemy istotne dla naszego ustroju, dla naszej historii 30-lecia. Mało jest w ogóle utworów, które by mówiły prostym językiem, w sposób taki — powiedziałbym — niezakamuflowany. I jest to objaw — dla mnie osobiście — nawet bolesny. Pisarze muszą się uciekać nieraz do rozmaitych aluzji, kostiumów niby-histerycznych.

— Zanotowałem sobie wcześniej pytanie: co Pan sądzi o prozie Buczkowskiego i Parnickiego, o dwóch najwybitniejszych — moim zdaniem — polskich prozaikach współczesnych? O Buczkowskim już Pan sam powiedział. A Parnickiego jak Pan odbiera?

— Buczkowskiego uważam za jednego z najbardziej niesamowitych i wybitnych pisarzy. Natomiast co do Parnickiego, to powiem szczerze, że jeszcze się nie wgrzyłem w jego utwory. Ciągle odkładam, odkładam, bo trzeba w jego książkach zasmakować, nie można tak przeczytać dorywczo, trzeba od razu wziąć dwie, trzy książki. Są takie książki, które czekają na mnie. Np. do Faulknera dłuższy czas nie mogłem się zabrać, wreszcie zasmakowałem kiedyś i uważnie przeczytałem jedną, drugą, potem następne. Podobne zjawisko, jeśli chodzi o Parnickiego.

— Teraz pytanie nieco może nachalne ale chyba istotne. Jak Pan ocenia — po czterdziestu latach zajmowania się literaturą — swoją twórczość? Które utwory ceni Pan najbardziej?

— Jeżeli chodzi o „Zakłętą rewiry”, to przywiązuję do nich wagę — powiedziałbym — ze względów sentymentalnych po prostu. Bo to pierwsza książka, której autorem był chłopak, niewiniątko właściwie. Przywiązuję największą wagę do „Najtrudniejszego języka świata”, także dlatego, że ta książka kosztowała mnie najwięcej wysiłku.

Pierwsza wersja, pt. „Odwet”, była właściwie nieudana, choć są tam pewne rozdziały, które wypadły zupełnie dobrze. Powieść tę chciałem pisać w sposób żywiołowy, tak jak „Zakłętą rewiry”, ale już na to byłem trochę za stary. I chyba dobrze, że „Odwet” się nie ukazał, bo to było ni to — ni owo. A „Najtrudniejszy język świata” był rzeczywiście dla mnie trudny, bo ja już go w „Odwecie” pisałem, a po wtóre — dopiero 5 lat po „Parafianach” wydałem. Jakże trudno było mi wżyć się w psychikę Niemców, z którymi po wojnie na ziemiach zachodnich przez wiele miesięcy mieszkaliśmy pod jednym dachem. I musiałem pewnie sprawę przemyśleć na nowo, lyknać trochę literatury niemieckojęzycznej, po prostu po to, żeby lepiej wczuć się w ówczesnych Niemców. Do „Pana z prowincji” jakoś nie czuję sentymentu, nie wiem dlaczego. Może dlatego, że tak długo się męczyłem z tą powieścią, może to w pewnym sensie zniechęciło mnie do niej. Odkładałem ją na rok, na kilka miesięcy. Nie miałem dystansu do tematyki i problematyki, tkwiłem w brzuchu wieloryba, ciągle chcąc opisać go całego... Więcej wagi przywiązuję do tej, co ma się ukazać niedługo, tj. do „Wpisanych w Giewont”.

— Pisarstwo to nie zawód, lecz powołanie, tak Pan się nieraz wyrażał. Czy ta formuła odnosi się do wszystkich pisarzy?

— To powiedzenie dotyczy przede wszystkim tego rodzaju pisarzy, jakim ja jestem. Weźmy np. Parandowskiego, on może być zawodowym pisarzem, jest równocześnie naukowcem, ma talent, stać go na to, że może pisać książki zawodowo. Bo ja muszę najpierw coś głęboko i boleśnie przeżyć, dopiero potem mogę pisać, muszę najpierw nalać do akumulatora psychiczny. I wtedy to jest powołanie.

— Na koniec najbardziej już konwencjonalne pytanie: nad czym Pan aktualnie pracuje? Prasa doniosła o powstaniu dwu filmów wg Pana prozy...

— Oto „Pamiętnik świetliczanki”, którego fragmenty trzeciej wersji ukazały się w prasie pt. „Paszkwił na żonę”, odkładam na jakiś czas, teraz są jubileusze, trzeba napisać coś optymistycznego, a tam jest dużo pesymizmu. A po drugie jeszcze raz chciałbym pewne rozdziały przerobić. Teraz piszę felietoniki do „Wiadomości”, są to obrazki obyczajowe, ale widzę, że z tego znowu coś rośnie, na razie mam tych obrazków 18, no to jeszcze 180 i będzie książka... Poza tym piszę reportaże... Z filmem niewiele mam do czynienia, scenariusza żadnego nie pisałem. Scenariusz wg „Zakłętych rewirów” napisał dramaturg czeski — Paweł Hajny, film częściowo kręcony będzie w Pradze, reżyseruje Janusz Majewski. Natomiast scenariusz wg opowiadań tomu „Grzech Antoniego Grudy” napisał Janusz Krasinski, a reżysersko debiutuje Jerzy Sztwiertnia. Zespół filmowy „Iluzjon” nawet nie powiadomił mnie, że pod koniec czerwca rozpoczęto kręcenie filmu w plenerze koło Kłodzka. Może pojechałbym przyjrzeć się tej robocie, a może napisałbym jakiś reportaż, a tak po prostu — obejrzę film w kinie.

Rozmawiał: JERZY PLUTA

Kazimierz Woźnica

Piękno

Piękno
o którym chcę wam powiedzieć
Powinno bić w mordę
Jak zjeleniał dywan
Dyrektora wielkiej korporacji
Wierzyć musimy w sens
Tych kwiatów które
Przybrały modne kolory
Wierzyć musimy w parasolki
Dla zakochanych
Nadające się jedynie do liczenia gwiazd
Tylko sprzedawcy
Perfumowanych papierowych róż
Nie wiedzą że
Łysieją od wewnątrz
Jak Prevert

21 II 74

droga

drogą użyteczną jak poemat
wlecze się karawan-ugniatacz planet
drogą zmęczoną jak kilka starych kobiet
idą smutni poważni jak rekruci przedszkolacy
czy drogę — wąską jak do bielizny sznur
po której pędzi na kwadratowych kołach
moje życie — przetnie dobrze mi znana
senna biała gęś?
biegnę miejskim asfaltem
gładkim jak skóra twoich pośladków
popychając kij drewnianego ptaka na kółkach
chcąc uciec w dzieciństwo
tymczasem
zatrzymuje mnie kontrola drogowa
w pośpiechu muszę przypomnieć sobie
wszystkie znaki z drogowskazów życia
bo będzie źle

uniformizacja

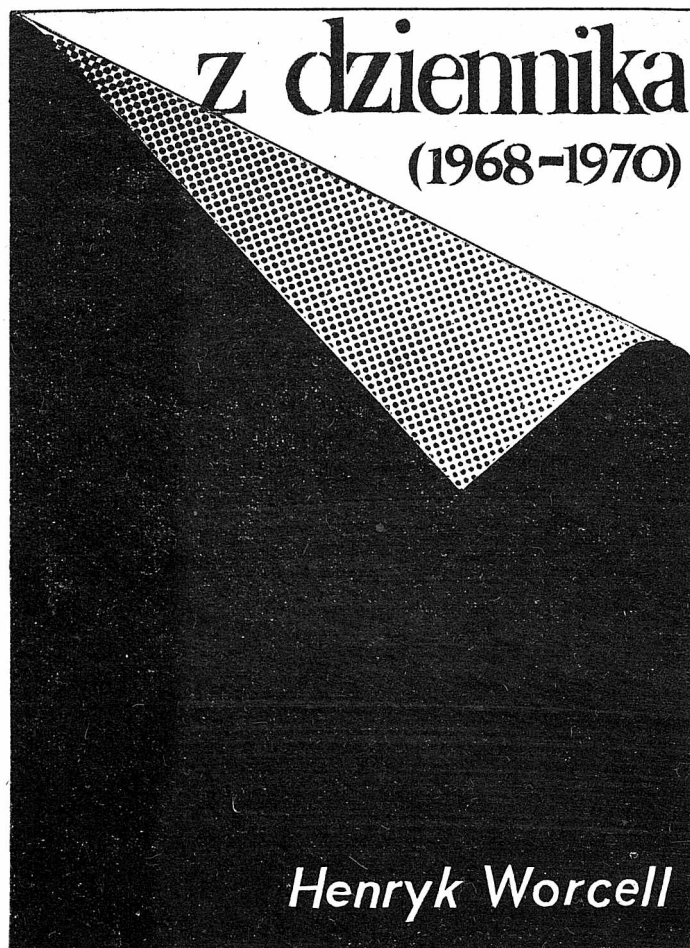
tak dla odróżnienia od tłumu
poeci
zuniformizowani
w koszulki-niewidki
w siną kratę
od tego momentu
zaczną wierzyć w symbole
w sposób
materialistyczny
czy liczyć się z faktem że
niektórzy z nich
jednak będą musieli
skoczyć z mostu
do suchej rzeki?

Augustów 8 VII 1974

amazonki na skuterach

amazonki posadzano na skutery
co im znacznie ma ułatwić dojazd
z okolicy do rzeźni miejskiej
gdzie konie przekręca się
na kielbaski

KAZIMIERZ WOŹNICA



(fragmenty)

4 listopada 1968. — Wczoraj walne zebranie naszego Oddziału, wybór nowego Zarządu i... Absolutnie się tego nie spodziewałem: wybrano mnie na stanowisko prezesa! Nie wiem, martwić się, czy cieszyć. Przecież nie mam żadnej praktyki w tym kierunku, nie byłem jeszcze członkiem Zarządu, nie znam tutejszych ludzi, tutejszych władz. Teraz trzeba być w Związku trzy razy w tygodniu — obawiam się, że mi te zajęcia bardzo opóźnią pracę nad książką.

23 marca. Zaniósłem do „Odry” 15 stron „wrocławskiej” powieści. Przyjęto. Podobno się dobrze zapowiada. Ale swoją drogą dwa dni później Karpowicz telefonicznie tak mnie uraczył teoretycznymi poradami, że tylko mętlik w głowie mi pozostał. Pójdę do niego, najlepiej do domu, na pogawędkę, może coś więcej uchwycę. A jeśli nie, to mam nadzieję, że intuicja podpowie mi, co dalej robić. Widzę, że moje opory wobec tej powieści wynikały z tego, że zniechęciłem się do mojego staruszka. Właśnie za jego starości. Odmłodziłem go teraz, staje mi się sympatyczniejszy. I powoli uczę się wyłączać od różnych spraw bieżących, związkowych czy innych, skupiać się w godzinach porannych nad powieścią.

5 kwietnia. Mnożą się debiutanckie mikropowieści, mikro-utwórki. Uziemione, urzeczowione, widząc świat z wysokości gada płożącego się po ziemi. Z góry można machnąć ręką na debiutancką książkę, zanim jeszcze wyszła z drukarni. Mnożą się one w nieskończoność, mimo że krytycy ostro je ganiają, wykpiwają (...).

17 kwietnia. Wiosna opóźniona, zimno. Martwił nas ten nie zorany jesienią ogród. Ale oto wczoraj szczęśliwym zbiegiem okoliczności złapaliśmy oracza, który nie tylko zaozał, ale i zbronował działkę. Co za radość patrzeć na świeżą ziemię, którą można już obsiewać, podczas gdy wokół, na sąsiednich działkach pełno sterczących palików, zeszłorocznych badyli bobu, słonecznika, kukurydzy i chwastów, w których chimara wróbli znajduje jeszcze jakieś nasionka. (...). Teraz przyszło mi na myśl, dlaczego by mojego powieściowego reńcistę nie uraczyć tą pracą? Przecież już mam plan, by go wyprowadzić razem z siostrzenicą Kasią za miasto, na działkę. Niech sobie weźmie dodatkową działkę, niech ją wydzierzawi, kupi, niech ją orze i stale coś tam robi. Niech

oscyluje między śródmieściem z jego skomplikowaną cywilizacją a prymitywem działek i ludzi na końcu Biskupina. Zresztą i tam mogą się zjawić skomplikowani ludzie, np. „Jureczek”.

17 maja. Nadeszła kupa książek, autorskie egzemplarze „Zaklętych rewirów”. Kupa. To zrobiło wielkie wrażenie na synach. To już coś namacalnego. Tyle papieru, tyle druku, może sobie pomyśleli: jednak trzeba było popracować, żeby taką KUPE zrobić.

21 maja. Jednak męczące te codzienne wyjazdy na wieczory nie tylko „pod lipą”, te późne powroty o pierwszej po północy lub trzeciej nad ranem, to czekanie na stacjach lub nerwowo pośpiech, by się nie spóźnić na pociąg lub autobus i codzienna obawa czy wieczór się uda, czy organizatorzy nie nawalą i czy, gdy wieczór z ich winy się nie odbędzie, zapłacą mi za stracony dzień (Urszuli Koziół już dwa razy się to zdarzyło).

10 czerwca. Ogród nareszcie wyczyszczony z chwastów — mój starszy pan mógłby tam mieć swoje przygody. Ale jakie? Czy tylko z Niedymskim? Pomyślę o tym w lecie, zwłaszcza w sierpniu, gdy będę z Tonieczką nad Dunajcem niedaleko Łącka.

W „Twórczości” wnikliwa recenzja „Wieczór pod lipą” Henryka Berezy. Bardzo ciekawa dla mnie, bo analizująca w ogóle moje pisarstwo, ale i trochę kontrowersyjna.

W „Odrze” sympatyczna recenzja Cieńskiego. W „Polityce” recenzja Krystyny Nastulanki. Parę dni temu ona osobiście przybyła do nas do domu na dłuższą rozmowę i wywiad dla „Polityki” (...).

22 lipca. Jak opisać start Apollo 11 do lotu na księżyc? Cośmy czuli, cośmy myśleli widząc w telewizji przygotowania do startu i sam start — to powolne wznoszenie się gigantycznej rakiety nad kłębami ognia i dymu.

A ci trzej: Armstrong, Aldrin i Collins — co to za ludzie? Kilka godzin przed startem spokojnie jedli śniadanie w towarzystwie przyjaciół — ot, myślałby kto: pożegnana uczta przed rejsem do Afryki lub Azji. Albo ci ludzie, trzystu spokojnych facetów w ośrodku kontrolnym w Houston, wpatrzni w ekrany telewizyjne i światełka w sygnalizacyjnych aparatach. Ludzie to, czy mechanizmy, drobne części jakże skomplikowanej maszyny? Czy Moravia ma rację pisząc w swoim reportażu dla „Polityki”: „Maszyny coraz bardziej skomplikowane, ludzie coraz prostsi”. Bo tam zobaczył, że jeden z nich czyta powieść kryminalną.

Później widzieliśmy ludzi chodzących po powierzchni księżyca. Aż mi dech zapierało. Nie mogłem objąć świadomością tego zjawiska, jego wielkości. I może dlatego jeszcze później, jakby na skutek zmęczenia wyobraźni, nastąpiło zobojętnienie. Ot, chodzą sobie po księżycu, zbierają kawałki tamtejszej materii, i co? Niedobrze — już coś we mnie zwietrzało, już nie mogę wykrzesać z siebie tego mistycznego, religijnego podziwu, jaki odczuwałem 16 lipca, przed startem rakiety i parę dni później gdy ludzie schodzili na powierzchnię księżyca.

15 sierpnia. Od dwóch tygodni jesteśmy — Tonieczka, ja i Jędek — w Zabrzegu, między Starym Sączem a Krościenkiem u ujścia Kamienicy do Dunajca (...). Mam przy sobie Teilharda de Chardin „Wybór pism”; a teraz czytam Grosmana biografią Dostojewskiego. Cóż za fenomen ludzki! Gigant, największy wulkan świata. Jakże żałośnie się czuję ze swą pisaniną, jakimś opowiadaniem i dalszym ciągiem powieści — zamiast natchnienia, jakiegoś dopingu, ta książka działa na mnie paraliżująco. Po tym wszystkim, co ten gigant powiedział o człowieku, po co te nasze obrazki, gadki, te smużki światła jakby latarki kieszonkowej. W naszych książkach ludzi nie widać — dajemy tylko tło, opis rzeczy, wśród których człowiek się obraca.

23 października. Jednak moja praca posuwa się, mam już 70 stron maszynopisu. Czy jestem z nich zadowolony, to inna sprawa (...).

Trzecia rzecz: Karpowicz, zachęcony przez reżysera i dyrektora Teatru Współczesnego, Witkowskiego, podjął się przeróbki „Parafian” i „Najtrudniejszego języka” na sztukę sceniczną, by ją wystawić w maju na XXV-lecie Ziemi Zachodnich, 7 XII. Wieczór autorski w szkole z paniami Koła Gospodyń pod Wrocławiem nie doszedł do skutku z mojej winy. Także z winy naszego przyjaciela, Wawrzyńskiego ze Skrzynki, z którym za dużo wypilem.

6 stycznia 1970. Jednak pewne rzeczy posuwają się na przód. Moją powieść dociągnąłem do stu stron maszynopisu, myślę, że wczesną jesienią rzecz ukończę, powinna liczyć ponad dwieście stron, a w książce trzysta. Więc nie mikropowieść.

31 stycznia. Jednak sztuka Karpowicza (adaptacja „Najtrudniejszego języka”) nie przeszła. Dyrektor Witkowski złakł się jej, podobno rzecz nie nadaje się na XXV-lecie. Za dużo tam ujemnych postaci polskich, za jaskrawo ich zło wychodzi, chociaż w sensie teatralnym, scenicznym rzecz jest dobrze zrobiona.

14 kwietnia. W Krakowie nie mogliśmy nocować u Rebmánów, bo p. Maria chora. Fredzio zarezerwował nam pokój w hotelu Francuskim. Bagatelka: 200 złotych. Hotel wprawdzie pierwszej klasy, pomyślałem sobie o niemieckich generałach, którzy tam mieszkali w czasie, gdy ja pracowałem na dole w restauracji (1942 rok) — ale co za akustyka w tej wąskiej uliczce Pijarskiej, każdy warkot samochodu, trzaskanie drzwiczkami aż podrywa z łóżka.

Nowa Huta robi wrażenie potężne. Jechaliśmy tramwajem i gdzieś tam w pobliżu widzieliśmy resztki wsi Krzesławice z domami krytymi strzechą, a tuż obok ten potężny kombinat z dymiącymi kominami.

Mój wieczór autorski nie był nadzwyczajny. Kierownik Domu Kultury, niejaki Primus, wielki tchórz. Wyraźnie bał się moich śmiałych wypowiedzi, nie wiedział, jak mnie przyhamować, cierpiał, cierpiał, wreszcie podsunął mi „Zaklęte rewiry” prosząc, bym przeczytał jakiś fragment. Oczywiście odmówiłem, musiał cierpieć dalej — widocznie gdzieś tam na sali siedział ktoś znajomy...

21 kwietnia. Już po Wiośnie Kłodzkiej. Trzy dni z Tonieczką w Polanicy. Referaty niestety nudnawe. Mankamentem tej Wiosny był brak tych prelegentów i gości, których komitet zaprosił: Słonimskiego, Seweryna Pollaka, Sandaue-ra. (...) Tonieczka mieszkała w jednym pokoju z dwiema znanymi poetkami. Jednej z nich zadała pytanie, czy jest wierząca. Tak, jest wierząca, ale... „Niech pani to zachowa w dyskrekcji”. Potem wyraźnie była zdziwiona, gdy Tonieczka powiedziała, że ja jestem wierząca i że wszędzie się do tego przyznaję. Coś jest nie w porządku. Ten Primus tam, w Nowej Hucie, podsuwający mi książkę do czytania, i ta poetka prosząca o zachowanie tajemnicy odnośnie jej światopoglądu.

27 maja. Niezwykle opóźniona wiosna, fala chłodów, śnieg w górach, a tu bez i kasztany w pełnym rozkwicie. Opóźnione też prace w ogrodzie i nie tylko z powodu zimna. Te nie kończące się jubileusze, imprezy, zjazdy, wyjazdy (...).

4 czerwca. W Warszawie posiedzenie Zarządu Głównego, gdzie między innymi omawiane będą szczegóły wyjazdowej sesji ZG ZLP i Sympozjum na temat współczesnej dramaturgii we Wrocławiu w połowie października (...). A w listopadzie „Dni Literatury” w Dzierżoniowie. Za dużo tego wszystkiego. Od dwóch miesięcy nie ruszyłem mojej powieści. Ale w ogrodzie pomidory już posadzone, już wszystko tam rośnie, chwasty też.

3 lipca. Skróciliśmy pobyt w Skolimowie, wróciliśmy stamtąd wczoraj wieczór. Po prostu uciekliśmy stamtąd od p. Kozowskich. Jakże przykry był ten 9-dniowy pobyt u nich! Nie dlatego, że pracowaliśmy od wczesnego rana do zmroku, zbieraliśmy truskawki, sadziliśmy kapustę, plewili grządki itd. Ale ta obrzydliwa małostkowość tych ludzi, to skąpstwo, to groszoroństwo! On już emeryt, pobiera 1800 złotych, ona 50-letnia, zdolna, dobrze zarabiająca krawczyni (poznaliśmy ją przed laty jako miłą wdowę w Trzebieiszowicach), jedyna ich córka wyszła za mąż i za „trabanta”; na książeczce PKO mają chyba pół miliona złotych, bo żyją bardzo oszczędnie, jedzą ryż z truskawkami i kluski z chudego sera, a on nie pije, ani nie pali. Od rana do wieczora całą duszą skupieni na kalkulacjach, cenach truskawek, odstawianiu towaru do Warszawy, ona ciągle coś szyje, oszczędzają prąd elektryczny, którym pompują wodę, więc ciągle brak tej wody, nie ma się czym porządnie wymyć, nawet naczynia myją zimną wodą. Oczywiście o żadnej lekturze mowy nie ma, nawet dziennik z rzadka kupują. Po co takie podle życie? W niewoli rzeczy i pieniędzy.

28 lipca. Piętnaście rozdziałów, czyli około 180 stron maszynopisu. Jeszcze jakieś czterdzieści. Gdybym siedział bez przerwy nad powieścią, skończyłbym może w połowie września. Ale podjąłem się napisania reportażu o Polakach z Rumunii, z Pojana Mikului na Bukowinie, którzy w l. 1946-47 osiedlili się pod Dzierżoniowem. Bardzo przyjemni ludzie,

byliśmy z Tonieczką dwukrotnie u rodziny Swancarów po 3-4 dni i jeszcze tam pojedziemy (...).

Jutro wyjazd do Poznania, gdzie w Teatrze Polskim mam się spotkać z reżyserem Kordzińskim, który zabiera się do wystawienia sztuki „Widzę stąd Sudety”, adaptacji Karpowicza.

20 sierpnia. Tydzień pobytu w Skrzynce u pani Wawrzyńskiej (kierowniczkę szkoły) i trzy dni u Klimczaków w Trzebieszowicach. Smutno. Trudno mi chodzić po górach. nogi bołą, a grzyby gdzieś uciekły. Wszystkie moje grzybo-rodne młodniki sprzed piętnastu laty wyrosły w świerkowy las, nie ma tam grzybów, trzeba by za nimi chodzić po porbrzeżach lasów i łąk, w górę, w dół, ale i tam już mnóstwo śladów grzybiarzy, którzy wstali o trzeciej-czwartej rano.

W mojej „rodzinnej” Skrzynce ludzie... Nie wiem, jak ich określić. Jedni się bardzo postarzel, inni chorzy, inni pija na umór, żłopia paskudne wino owocowe. Współczuję Wawrzyńskiemu. Ludzie wrogo do nich ustosunkowani już z tej racji, że są „inni” — pracownicy i inteligentni. Nie wiem, jak oni sobie radzą z tymi ciemniakami, muszą się z nimi liczyć, bo inaczej powybijano by im szyby, rozkradziono drób.

napadnięto i pobito gdzieś po ciemku. Kiedyś wytruto im kilkanaście kur, a za naszej bytności ukradziono indyka(...).

15 września. Druga wyprawa do Poznania, tym razem z Karpowiczem. Dłuższa debata z reżyserem Kordzińskim i dyrektorem Zielińskim nad tekstem Karpowicza. On trzymał się mocno swoich koncepcji, na które zresztą wszyscy się zgodzili — on ze swej strony zgodził się pewne rzeczy grubiej zarysować, by się stały widoczne dla widza teatralnego. Prawdopodobnie premiera z końcem października.

A tu przygotowania do naszego Sympozjum o dramaturgii współczesnej. Miało być 100 osób, teraz Gisges mówi o 200-250. Problem sal, wieczorów autorskich, miejsc w hotelach, środków lokomocji itd. Wszystko to zwała się nam na kark i zabiera dużo czasu. Czy to potrzebne? (...).

Powieść urwałem na 16 rozdziale, by się zabrać do reportażu o Polakach z Rumunii. Wątpię, czy w październiku zdolam napisać te 3-4 rozdziały końcowe.

HENRYK WORCELL

PRZEBŁYSKI

Henryk Jagodziński

Jeśli czegoś nie można powiedzieć w formie aforyzmu, pisze się poezję; kłopotliwy dowód bezradności.

*

Muzyka: hałas kompozytora.

*

*Książki dużo mówią, ale najwięcej czy-
nią hałasu, gdy spadną z półki.*

*

*Nadzieja, to majątek: można ją stracić
w ciągu jednego wieczora.*

*

*Cokolwiek byśmy nie powiedzieli, za-
powiedzią lepszego jutra jest lepsze
dzisiaj.*

*

*Dobry meteorolog i z zegarka odczyta
pogodę, gdy właśnie deszcz leje.*

*

*Nie nadużywajmy określenia „bydlak”
przez dopisywanie temu pojęciu cech
wyłącznie ludzkich.*

*

*Gdy Pigmej wyrasta nad przeciętność,
jest nieprzeciętnym Pigmejem.*

*

*Przydałaby się fabryka opon mózgo-
wych...*

*

*Chciałbym, aby ludzie, bez względu na
wzrost, byli równi.*

*

Pan X zna się na wszystkim. Żle!

*

*Był tak nieufny, że przy każdej okazji
sprawdzał, ile jest dwa razy dwa.*

*

*Mankamentem faktów jest to, że są
one czasami zupełnie odmienne od hi-
storyjek opisywanych przez wspania-
łych dziennikarzy w ich świetnych ar-
tykułach.*

*

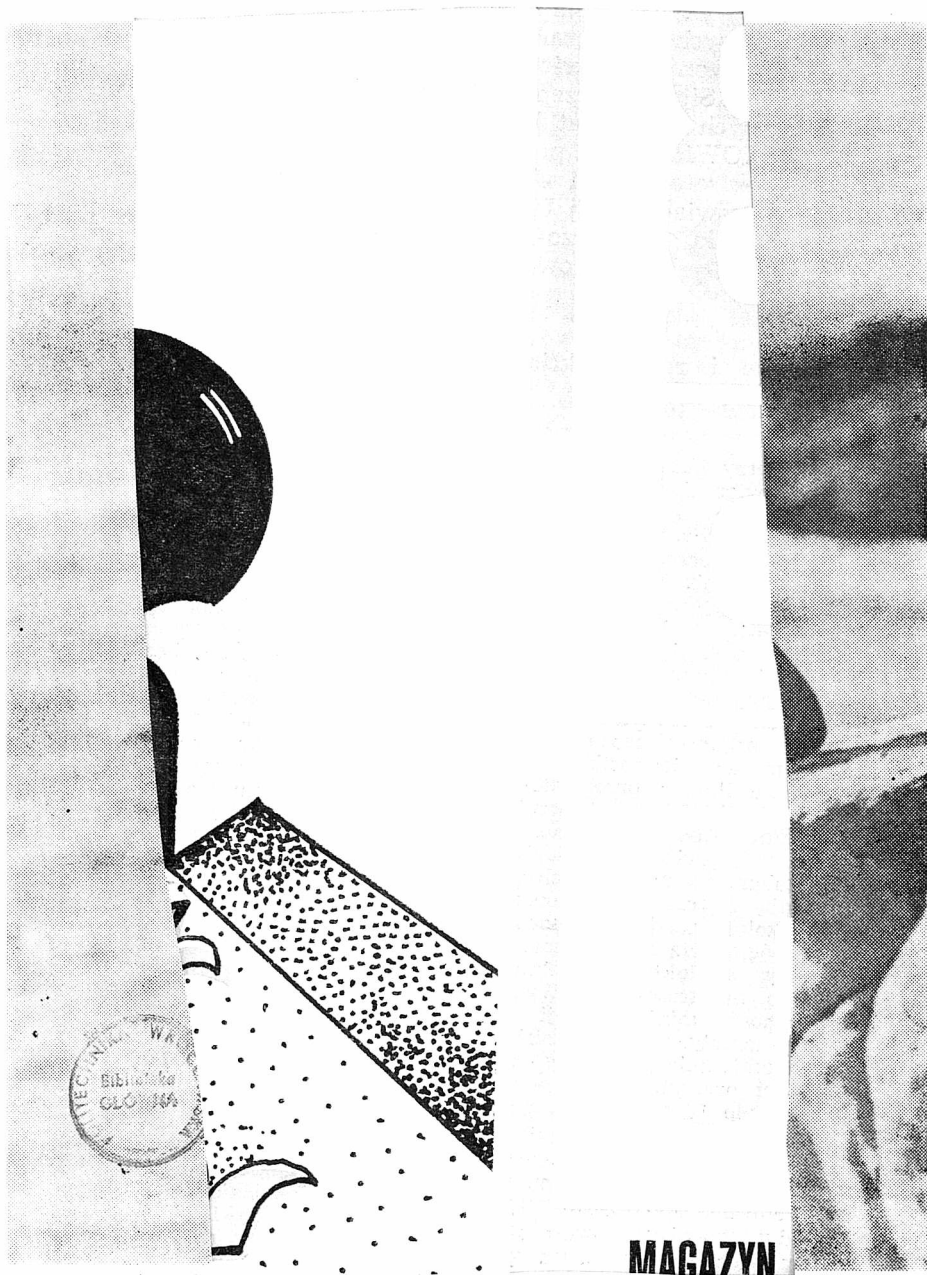
*Nawet w urzędzie śledczym nauka nie
odpowiada na wszystkie pytania.*

*

*Nie denerwujmy się bezpodstawnie? A
więc — dawajmy sobie powody?!...*

*

*Słownik jest niewyczerpanym źródłem
pomysłów dla aforysty.*



Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. S. Janiszewskiego 14, pok. 14/15, tel. 22-70-51 w. 240 (pocztą wewnętrzną: P-9/S). Redaguje zespół w składzie: GRZEGORZ DĄBROWSKI, ERNEST DYCZEK (redaktor techniczny), JERZY GIRULSKI (redaktor naczelny), SŁAWOMIR HULANICKI, WOJCIECH KOZAK, MAŁGORZATA KRAMKOWSKA, JAN KUROWICKI (z-ca redaktora naczelnego), MARIA MARCOLLA-WOLCZEK (sekretarz redakcji), MARIA PLUTA, MAREK SZEWCZYK, STANISŁAWA SZULC, TOMASZ WIELICKI, RYSZARD WOJTASZEK (z-ca redaktora naczelnego).

Opracowanie graficzne: STANISŁAW RYSZARD KORTYKA,
przy współpracy ANDRZEJA KLIMCZAK-DOBRZANIECKIEGO



u-TWORKI

Miłość w

Była wiosna, zielone ulicach dziewczyny

A na ławkach tympatyczna recenzja Cieńskiego. W „Polityce” Ze nie zliczyłby

I nie starczyłby do nas do domu na dłuższą rozmowę „lityki” (...).

W cichym zakątku

I ja — zmaltretowany

Oboje my en face

A między nami

I moje słowa: „Armstrong, Aldrin i Collins — co to za ludzie?

Algorytm mi porządek startem spokojnie jedli śniadanie w to-

Powiedz „tak” — yjaciół — ot, myślałby kto: pożegnana uczta

Szepnij tylko jako Afryki lub Azji. Albo ci ludzie, trzystu

„O, mój egzekutywów w ośrodku kontrolnym w Houston, wpły-

televizyjne i światelka w sygnalizacyjnych

Przywróć mnie z tego, czy mechanizmy, drobne części jakże

O JEAN, pokociej maszyny? Czy Moravia ma rację pisząc w

jak WASC. Zu dla „Polityki”: „Maszyny coraz bardziej

I nie bądź taka, ludzie coraz prostsi”. Bo tam zobaczył, że

Lecz raczej już była powieść kryminalna.

o dołoż mo

wielodostępna, zieleńscy ludzi chodzących po powierzchni księ-

a nawet ałech zapierało. Nie mogłem objąć świadomością

i, jego wielkości. I może dlatego jeszcze póź-

Niech znów — a skutek zmęczenia wyobraźni, nastąpiło zobo-

W ramionach, chodzą sobie po księżycu, zbierają kawałki

Obok APID-uaterii, i co? Niedobrze — już coś we mnie

uż nie mogę wykrzesać z siebie tego mistycz-

Bo jeśli stale tego podziwu, jaki odczuwałem 16 lipca, przed

Niechaj będzie i parę dni później gdy ludzie schodzili na

W myśl teorii księżycą.

Pokochaj lub

(Miłości przeza. Od dwóch tygodni jesteśmy — Tonieczka, ja

w Zabrzegu, między Starym Sączem a Krościen-

Lecz pamięta,ia Kamienicy do Dunajca (...). Mam przy sobie

iz wieszca Chardin „Wybór pism”; a teraz czytam Gros-

niż Szekspiera Dostojewskiego. Cóż za fenomen ludzki! Gi-

Bo czyż którykszy wulkan świata. Jakże żałośnie się czuję ze

a, jakimś opowiadaniem i dalszym ciągiem po-

miast natchnienia, jakiegoś dopingu, ta książka

nie paraliżująco. Po tym wszystkim, co ten gi-

ział o człowieku, po co te nasze obrazki, gadki,

wiatła jakby latarki kieszonkowej. W naszych

Glupota nie idzie nie widać — dajemy tylko tło, opis rzeczy,

cajmy winy nch człowiek się obraca.

Wpadając w wir życia nie należy zapo-

minać o sile odśrodkowej.

Fizyka, to samo życie; czym mniejszy

współczynnik poparcia, tym szybciej

stacasz się po równi pochylej.

Ludzie wspinają się po szczeblach ka-

riery, aby później zjechać windą.

Każda gwiazdka z czasem nie ma czym

świecić i znika.

GRZEGORZ DĄBROWSKI

MAKOKO

WOJCIECH KUBIAK

na marginesie

Ilość osób podających się za studentów

POLITECHNIKI, intensywnie wzrasta,

co świadczy dobitnie o popularności na-

szej uczelni.

„Cały semestr bez dwójki” — to zo-

bowiązanie podjął student „O”. „O” nie

zamierza uczestniczyć na żadnych za-

jęciach w bieżącym semestrze.

Konkurs na asów w akademikach za-

skoczył jury. Okazało się, że więcej

jest jednak tam DAM i WALETÓW.

oni, gdy będę z Tonieczką nad Dunajcem

wnikliwa recenzja „Wieczór pod lipą”

Bardzo ciekawa dla mnie, bo analizująca

sarstwo, ale i trochę kontrowersyjna.

W „Polityce” Ze nie zliczyłby

do nas do domu na dłuższą rozmowę „lityki” (...).

opisać start Apollo 11 do lotu na księżyc?

śmy myśleli widząc w telewizji przygotowa-

sam start — to powolne wznoszenie się gi-

ęty nad kłębam i dymu.

„Armstrong, Aldrin i Collins — co to za ludzie?

Algorytm mi porządek startem spokojnie jedli śniadanie w to-

Powiedz „tak” — yjaciół — ot, myślałby kto: pożegnana uczta

Szepnij tylko jako Afryki lub Azji. Albo ci ludzie, trzystu

„O, mój egzekutywów w ośrodku kontrolnym w Houston, wpły-

televizyjne i światelka w sygnalizacyjnych

Przywróć mnie z tego, czy mechanizmy, drobne części jakże

O JEAN, pokociej maszyny? Czy Moravia ma rację pisząc w

jak WASC. Zu dla „Polityki”: „Maszyny coraz bardziej

I nie bądź taka, ludzie coraz prostsi”. Bo tam zobaczył, że

Lecz raczej już była powieść kryminalna.

o dołoż mo

wielodostępna, zieleńscy ludzi chodzących po powierzchni księ-

a nawet ałech zapierało. Nie mogłem objąć świadomością

i, jego wielkości. I może dlatego jeszcze póź-

Niech znów — a skutek zmęczenia wyobraźni, nastąpiło zobo-

W ramionach, chodzą sobie po księżycu, zbierają kawałki

Obok APID-uaterii, i co? Niedobrze — już coś we mnie

uż nie mogę wykrzesać z siebie tego mistycz-

Bo jeśli stale tego podziwu, jaki odczuwałem 16 lipca, przed

Niechaj będzie i parę dni później gdy ludzie schodzili na

W myśl teorii księżycą.

Pokochaj lub

(Miłości przeza. Od dwóch tygodni jesteśmy — Tonieczka, ja

w Zabrzegu, między Starym Sączem a Krościen-

Lecz pamięta,ia Kamienicy do Dunajca (...). Mam przy sobie

iz wieszca Chardin „Wybór pism”; a teraz czytam Gros-

niż Szekspiera Dostojewskiego. Cóż za fenomen ludzki! Gi-

Bo czyż którykszy wulkan świata. Jakże żałośnie się czuję ze

a, jakimś opowiadaniem i dalszym ciągiem po-

miast natchnienia, jakiegoś dopingu, ta książka

nie paraliżująco. Po tym wszystkim, co ten gi-

ział o człowieku, po co te nasze obrazki, gadki,

wiatła jakby latarki kieszonkowej. W naszych

Glupota nie idzie nie widać — dajemy tylko tło, opis rzeczy,

cajmy winy nch człowiek się obraca.

Wpadając w wir życia nie należy zapo-

minać o sile odśrodkowej.

Fizyka, to samo życie; czym mniejszy

współczynnik poparcia, tym szybciej

stacasz się po równi pochylej.

Ludzie wspinają się po szczeblach ka-

riery, aby później zjechać windą.

Każda gwiazdka z czasem nie ma czym

świecić i znika.

GRZEGORZ DĄBROWSKI

MAKOKO

WOJCIECH KUBIAK

na marginesie

Ilość osób podających się za studentów

POLITECHNIKI, intensywnie wzrasta,

co świadczy dobitnie o popularności na-

szej uczelni.

„Cały semestr bez dwójki” — to zo-

bowiązanie podjął student „O”. „O” nie

zamierza uczestniczyć na żadnych za-

jęciach w bieżącym semestrze.

Konkurs na asów w akademikach za-

skoczył jury. Okazało się, że więcej

jest jednak tam DAM i WALETÓW.

kombiniata kotarami powiek,
Mój wiał się liśćmi park.
Domu kłko spłynęło z jej warg:
się moic
hamowem z ciebie wielki człowiek!
rewirnie format MARC!
odmowi powiem, żebyś miał posturę Cyklopa;
salizacie wyżej — MINIMOP-a.
ak naprawdę — jesteś równy zeru;
npletne zero, nic, po prostu patyk.
Co innego, gdybyś był informatyk...
Na przykład z APTR-u!

tem tej
komitet
ra. (...) rusi być ktoś
nymi pysokich wizualnych parametrach.
rzająca. By pod muchą i w getrach,
dyskrete nawet, czy dyrektor...
powied:
przynależ męski i silny
wej Hynowo uruchomiony
prosząc multipleksor.”
du.

lszy, poszła, pełna słodkich drwin —
rac „adieu! adieu!”
27 m w języku konwersacyjnym JEAN.
w górę,
ne też, zważając, że słowik lka,
kończy księżyc w nowiu
e świeci...

4 cąnęła się nagle jak mgła
gdzie ona w listowiu —
sesji stym jak komputerowe sieci.
turgii
stopa
wsi
ci. A
tam

zdrzach czułem woń bzów i akacji.
3 zostałem sam jak końcówka
tad zerwanym na zawsze łączem teledacji.
zowzysza jesień smutkiem szczodra
Niemość choć oko skreć!
zbopobliżu twórczo szumiała Odra.
itając trzysta pięć.

te
5/
j
r
j
w ognisko domo-
usi chuchać.

nie gryzie.

Ludzie wspinają się po szczeblach ka-

riery, aby później zjechać windą.

Każda gwiazdka z czasem nie ma czym

świecić i znika.

GRZEGORZ DĄBROWSKI

MAKOKO

WOJCIECH KUBIAK

na marginesie